Nr. 16 (1269). Warszawa, 16 (29) Kwietnia 1905 r. Rok XXV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ

POLITYKA

Delcassé zostaje.

Kwiecień nie był dla francuskiego ministra spraw zagranicznych miesiącem powodzenia w twardem rzemiośle dyplomacyi. Ucierpiał też jego rozgłos, w którym więcej było zawsze zdawkowego uznania, bezmyślnego szczęścia niż rzetelnej zasługi i rzeczywistej wyższości zjednywającej ludzi rozumnych. Ministrowi jednak wystarczało stereopytowe zadowolenie z polityki pokojowej, tego banalnego określenia wszelakiej miernoty w dążeniach; nasycić go nawet mogło sławą pomyślne ułożenie stosunków z Włochami, przeprowadzenie na radach gabinetu neutralności jawnie życzliwej dla Rosyi, zawarcie traktatów o polubowność z kilku państwami, a między innemi z Anglią. Zbliżenie się Delcassego do wyspiarzy dało mu nawet możność wyświadczenia Francyi, jako wielkiemu mocarstwu, graniczącemu z Marokkiem, istotnej przysługi. Dnia 8 kwietnia 1904 r. ambasador francuski w Londynie, p. Cambon i min. spr. zagr. Anglii Lansdowne podpisali konwencyę, usuwającą wszelkie nieporozumienia terytoryalne i zamieniającą uroszczenia obustronne w prawa wzajemnie sobie przyznane i pod straż wzajemnych obowiązków oddane. A te roszczenia i wynikające z nich spory w części sięgały jeszcze do traktatu Utrechckiego, rozciągały się na Siam, Nowe Hebrydy, Madagaskar, na drobne posiadłości Francyi w Afryce północno-zachodniej, ogarniały nadto w jednej stronie Egipt, w drugiej Marokko. Konwencya wszystkie te sporne sprawy rozstrzygnęła, rozgraniczyła sfery wpływów, uznała lub zmieniła stan posiadania, a utrwalając panowanie angielskie nad Nilem, otworzyła wrota Atlasu dla Francuzów.

Ta ostatnia korzyść stała się dla Francyi podwaliną przyszłej zdobyczy. Wprawdzie zobowiązała się Francya nie zmieniać stanu politycznego w sułtanacie, ale Anglia uznała jej prawo do dobrego, opiekuńczego sąsiedztwa, więc przedewszystkiem do roli prefekta spokojności i bezpieczeństwa publicznego w krainie tak niespokojnej i niebezpiecznej; dalej prawo do przedsięwzięcia reform administracyjnych, z pomocą wojska, oraz do zaliczeń skarbowych dla wiecznie pustego, wiecznie rozdrapywanego skarbu sułtańskiego. Tak określona opiekuńczość obejmowała summę najważniejszych atrybucyi wszelkiego protektoratu. Albion wyraźnie upoważniał Francyę do zwierzchnictwa nad Maurytanią, a zastrzeżenie, wzbraniające obwarowań wszerz właściwej cieśniny gibraltarskiej nie zostawiło już żadnej wątpliwości, że do symetryi z angielskim Egiptem miało z czasem u stóp Atlasu powstać państwo maurytańsko-francuskie, z władzą, z tytułem do panowania w dogodną dziś, coraz bardziej upowszechniającą się, formę *stanu posiadania* ujęte. Handlu, ceł i taryf innych narodów nie dotknięto wcale, tylko w stosunkach między sobą stwierdzono zasadę zupełnej równości, tak dla Francuzów w Egipcie, jak dla Anglików w Marokku, oznaczając czas trwania wzajemności na lat trzydzieści. Do dziś dnia niewiadomo kogo, kiedy i jak obie strony uwiadomiły o zawartej umowie; ale rozprawy obecne między Niemcami a Francuzami niewątpliwie stwierdziły fakt półurzędowego zawiadomienia p. Bülowa przez p. Bihourda wkrótce po dniu 8 kwietnia. Brak zaś wiadomości o zawarciu konwencyi wzajemnej, uzupełniającej tę, która półurzędownie doszła do wiadomości rządu niemieckiego, tłomaczyć sobie wolno, według pojęć prawnych, jedynie tylko zupełnem nieistnieniem takiego aktu dodatkowego.

Ani jedna litera ogłoszonych dotychczas paragrafów konwencyi nie dotknęła praw niemieckich, które rozumieć można tylko jako prawa handlu i osadnictwa niemieckiego: nie można więc jej było uznać za szkodliwą dla Niemiec. Taki też użytek ze swego rozsądku zrobił p. Bülow jeszcze dnia 16 kwietnia 1904 roku, kiedy na zapytanie narodowca Sattlera odpowiedział, że wprawdzie niema jeszcze urzędowego zawiadomienia, ale nie sądzi, aby umowa miała jakieś ostrze, godzące w interesa niemieckie. Przez cały rok prawie było cicho; ani p. Bülow, ani jego pomocnik p. Mühlberg, ani sejm cesarstwa nie poruszały sprawy. Dopiero cesarz Wilhelm, aby przyłożyć pieczęć prawdy na zaręczenie bezinteresowności Hohenzollernów, roztoczone w mowie lutowej bremeńskiej, umyślił wykuć z nowego prawa francuskiego starą krzywdę niemiecką. Gdyby nie rozsądne przełożenia p. Bülowa, które ostatecznie powściągnęły genialny, jak wszystko co ten człowiek robi, rozpęd cesarza, odwiedziny w Tangerze w jednym z ostatnich dni marca byłyby jeszcze krzykliwszą manifestacyą tego uczucia skromności, którem rozrzewnia ludzkość cała następca Fryderyka II. Ostatecznie on—to dopiero wytworzył sprawę marakońską, on wyzwał p. Delcassé'go na rękę, aby go pobić większą swoją śmiałością i natarczywością, sięgającą daleko poza obronę konieczną interesów niemieckich, jak wyżej przez samą umowę wcale nie pokrzywdzonych, a pieniężnie tak niewielkich,

że roczny ich obrót nie przenosi w przecięciu nawet 7 milionów franków. Nie o handel jednak chodziło słynnemu pobrzękiwaczowi. Chciał on pokazać Francyi co może, chciał zawołać na Francuzów *Quos ego*, chciał skorzystać z osłabienia Rosyi, z zajęcia się jej dyplomacyi innemi, o wiele dla niej ważniejszemi od protektoratu francuskiego w Marokku sprawami. Z rozpędu pyszałkowatości krzyżackiej widać, że dążył w pierwszej chwili do zupełnego przekreślenia umowy co do Francyi. P. Delcassé nie zrozumiał tego, p. Delcassé nie chciał tego zrozumieć i postarał się nawet o to, aby tak jasnej prawdy nie dostrzegli przedstawiciele narodu.

Nie zdejmuje odpowiedzialności z niego, jako pierwszego stróża honoru francuskiego — ten fakt, że Francuz nie ma zmysłu, nie ma też i namiętności kolonizacyjnej; nie rozgrzesza go i postawa stronnictw radykalnych, zwłaszcza socyalisty Jaurèsa, jak w sprawie Alzacyi, tak w sprawie osadnictwa zamorskiego i w nagle rozpalonym sporze o Marokko ujawniona. Nie umowa, nie Marokko od końca marca stać powinno było na oczach ministrowi, ale wyzywająca żądza, czy zachcianka cesarza niemieckiego. Mógł Jaurès, sądzący o rzeczach ze stanowiska doktryny, przyznawać słuszność Niemcom; [illegible] wolno było Delcassé'mu na jedną chwilę nawet podpierać domniemania, że w postawie Niemiec jest cośkolwiek innego prócz chciwej drapieżności i lekceważącej pychy. Przeważna liczba mówców w Izbie dnia 19 b. m. tak wyraźnie oświadczyła się przeciwko uprzedzającej gotowości do układów, i to jeszcze w Berlinie, że minister—idąc tylko za większością—jak nakazuje obyczaj parlamentarny, mógł był jeszcze zejść z manowca i zamiast upokarzającej obrony urzędu przez p. Rouvier'a, wydobyć z samego siebie ten rozum i wymowę, któreby wystarczyły do zatarcia popełnionego błędu. Dopiero, gdy fakt nieufności ze strony Izby, nieujęty jednak w umyślną uchwałę, stał się jawnym dla całego świata, p. Delcassé ujawnił go w swej samowiedzy—i podał się do dymisyi, we dwa dni po wypadku. Dał się wszakże przebłagać, i w sobotę był już napowrót ministrem. Delcassé zostaje!—taki jest wielki mi wypadek. Nawet już *Times* ulega złudzeniu jakoby wraz z Delcassem pokój świata, na sępich skrzydłach odlatujący, wracał szczęśliwie na gołębich. Wygląda to na zupełne głupstwo. Następca Delcassé'go nie zrobiłby jeszcze wojny przez umorzenie rokowań berlinskich. Rzeczywistsze niebezpieczeństwo grozi pokojowi z innej strony, z tej właśnie, w którą wytężył Delcassé siły swoje, aby je sprowadzić. Neutralność Francyi w wojnie obecnej, szczerość tej neutralności, jest o wiele ważniejszym momentem logicznym od zatargu z Niemcami. Tylko rozpasana sofistyka mogła głosić, że ustąpienie Delcassego byłoby zwycięstwem Niemiec. Wręcz przeciwnie, powrót Delcassego daje przepowiednię klęski dla Francyi—jeżeli jej Anglicy we własnym swym interesie nie odwrócą.

Programy polskie.

Petersburg 22 kwietnia.

Czytelnikom *Prawdy*, siedzącym w widowni, świeżo degrana w teatrze *Ruś* bluetka p. t. „Programy polskie" mogła się wydać całkiem niezrozumiałą. Bo w jakim celu reżyserya wystawiła sztukę, w której tak oczywiście „przewartościowano" nasze stronnictwa? Skąd w niej główna rola poważna dostała się narodowemu demokracie, który dotąd był uważany w prasie rosyjskiej za pana Jowialskiego a nagle wyrósł na Ilję Muromca, rodzaj Wyrwidęba, olbrzyma, który—że użyję porównania Szekspira—gdyby rozkraczył się i stanął na dwu brzegach cieśniny, okręty mogłyby swobodnie przepływać między jego nogami? Dla nas, patrzących z za kulis sceny dziennikarskiej, widowisko to jest przejrzyste w całej swej niezwykłości i we wszystkich szczegółach. Was jednakże, czytelnicy za te kulisy wprowadzić nie mogę, bo nawet pewność sprawienia wam uciesznej niespodzianki nie uwalnia mnie od obowiązku tajemnicy. Tylko parę słów niezbędnych a dyskretnych.

Prasa rosyjska nie wyhodowała sobie w Królestwie polskiem korespondentów, którzyby gruntownie i bezstronnie badali jego życie, bo tacy ludzie i takie roboty nie były jej dotychczas potrzebne. Potrzebni byli tylko osobliwego gatunku wywiadowcy i bajkopisarze, którzy dziś, o ile nie znaleźli zajęcia po za dziennikarstwem w kierunku śledczo twórczym, obsługują już tylko *Swiet*, *Mosk. Wiedomosti*, *N. Wremia* i kilka podobnych interesów. Gdy więc teraz i w naszem społeczeństwie wzmocniło się tętno krwi i wystąpiły objawy godne uwagi, prasa rosyjska pragnęłaby je wyławiać, a nie mając własnych, stałych, rzetelnych informatorów, posługuje się albo przygodnymi gośćmi wątpliwej wiarogodności, albo komiwojażerami, wyrabiającymi zbyt towarom jakiejś polityczno-społecznej firmy. Nieraz przyjedzie do Petersburga ochotnik, zwykle taki, który dobrze znosi trudy długiej podróży, zajdzie do jednej lub paru redakcyi i tam z miną dyplomatyczną „rzuca światło" na stosunki nasze a właściwie je „przewartościowywa" według swojego poglądu i zamiaru. Naturalnie ten „duch" ma zawsze słuszny powód, ażeby go widzieli tylko ci, z którymi rozmawia. Z takich schadzek powstają najczęściej artykuły w pismach rosyjskich, które naiwnych oślepiają a świadomym szeroko otwierają oczy zdumieniem.

Głos sufiera w przedstawieniu „Programów polskich" słychać zdaleka. Według *Rusi*, Królestwo polskie zdradza wielkie ożywienie polityczne, a olbrzymia większość Polaków, stanowiących dotąd masę obojętną, grupuje się w stronnictwa. Było tych stronnictw trzy: ugodowcy, socyaliści i narodowo-demokraci. Pierwsze, tracąc ustawicznie wpływ, doszło do punktu zamarznięcia; drugie—chociaż „odegrało wybitną rolę w ostatnich wypadkach", jednakże „nie zdołało nimi pokierować" a „*głównie dlatego*, że z tym ruchem nie sympatyzowali narodowcy". Łatwo zgadnąć, zwłaszcza wobec tego ostatniego dowodu potęgi, iż „najpoważniejszą obecnie partyą polską są narodowo-demokraci", których „program" *Ruś* przytacza. Stwierdza ona przytem, że ich „memoryał" „skierowany został wprost do opinii publicznej rosyjskiej", że oni wykonali znamienny zwrot, „godząc się w zasadzie z państwowością ro.

Knut Hamsun.

W PRERYACH.

(Dokończenie).

Każdy stóg pszenicy składał się z ośmiu snopów, zwyczajnie braliśmy po jednym na raz i podawali na wóz — ja zacząłem brać po cztery. Zasypywałem go snopami, nakryłem nimi. Okazało się, że w jednym takim ładunku, który posłałem Szwedowi, znajdował się wąż. Zsunął się on do cholewy jego buta. Nagle słyszę przeraźliwy krzyk i widzę, jak Szwed zeskakuje z wozu, a z jednej cholewy wystaje mu wąż ciemno nakrapiany. Nie ugryzł go a przy zeskakiwaniu wysunął mu się z buta i jak błyskawica pomknął w pole. Puściliśmy się za nim obaj z grabiami, ale nie mogliśmy go znaleźć. Muły zaprzężone do wozu dygotały ze strachu.

Wtedy zawarliśmy układ, że odtąd będziemy pracowali z większem umiarkowaniem, i że ja będę mu podawał po jednym snopie naraz, jak dawniej... Tak oraliśmy i siali, kosili i zbierali siano, żęli i młócili pszenicę — wreszcie skończywszy, mieliśmy otrzymać zapłatę. Weseli na duchu, z monetą w kieszeni puściliśmy się we dwudziestu do najbliższego miasteczka w preryach, aby wsiąść na pociąg, który miał nas zawieźć na wschód. Dozorca towarzyszył nam, ubrany w bluzę z błyszczącymi guzami; chciał wypić z nami na pożegnanie.

Kto nie uczestniczył w takiem pożegnaniu gromadki robotników, ten nie może sobie wyobrazić, jaka to bywa straszna pijatyka. Ponieważ każdy stawia swoją kolejkę, wypada po dwadzieścia kieliszków na głowę. Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że na tem koniec; wśród nas znajdowali się gentlemeni, którzy chcieli płacić pięć kolejek. A niechże Bóg strzeże gospodarza, ktoryby usiłował poskromić podobne nadużycie. Byliby go natychmiast wyrzucili z za szynkwasu. Taka banda zarobników letnich niszczy wszystko, co jej w drodze staje. Już przy piątej szklance narzuca swą władzę i od tej chwili rządzi. Miejscowa policya jest bezsilna, brata się i pije z bandą. Idzie gra, bijatyka, hałasy przynajmniej dwie doby z rzędu.

Dla siebie wzajemnie byliśmy nadzwyczaj uprzejmi. W ciągu lata rozmaicie bywało z tem naszem kochaniem się, ale obecnie, przy pożegnaniu zapomniało się o wszystkiem. W miarę picia, rozszerzały się nam serca, częstowaliśmy się, omal z nóg się nie waląc, a uczucia nasze rzucały nas sobie w objęcia. Kucharz, który był starym, garbatym człowieczyną o głosie kobiecym i bez zarostu, zwierzył mi się wśród czkawki, że i on jest Norwegiem, a powodem, dla którego nie dał się wcześniej poznać, była ogólna pogarda yankesów dla Norwegów. Często słyszał, jak rozmawiałem o nim z tym z Valdres podczas obiadu, rozumiał każde słowo, ale teraz niech to pójdzie w zapomnienie, bo jesteśmy walne chłopcy obaj. I on „urodził się z zuchwałych synów starej Norwegii" w Jawie 22 july 1845 r. Dlatego powinniśmy być przyjaciółmi i *partnerami*, dopóki w ustach naszych brzmi norwezka mowa. Wśród uścisków przysięgliśmy sobie z kucharzem dozgonną przyjaźń. Wszyscyśmy się ściskali, omal nie dusząc się wzajemnie w żelaznych objęciach i tańczyliśmy z uciechy.

Zaczynało się zwykle pytaniem: — Coś teraz będziesz pił? Tu niema nic odpowiedniego dla ciebie! — I wchodziliśmy sami za ladę, szukając czegoś najdelikatniej-

syjską". Zapewne tylko jakiemuś szczęśliwemu, a nam nieznanemu przypadkowi, zawdzięczać należy, iż *Ruś* już na końcu swych wywodów przypomniała sobie o jeszcze jednej „drugorzędnej" grupie, postępowo-demokratycznej, której program „*sformułował* Sieroszewski w *Naszych dniach* a która „bierze pod uwagę *przeważnie* interesy robotnicze i dlatego jest bliższa socyalistom". (Na litość, jak ten sufler krzyczy!)

Pomijam „ugodowców", którzy co do liczby bezpłodności i wymierania znajdują się w położeniu żubrów, a ostatnie ich okazy wkrótce zapewne będą przedmiotem ciekawych oględzin. Pomijam socyalistów, których działalności nie znam. Zastanowię się tylko nad boababem naszych stronnictw, pod którego potężnymi konarami a nawet z jego łaski inne żyją. Będzie to zapewne wielką niespodzianką dla *Rusi* a bluźnierstwem dla przywódców „najpoważniejszej partyi", gdy powiem, że narodowo-demokraci żadnej partyi nie stanowią. Jest to całkiem przypadkowa i możliwie niejednolita mieszanina pierwiastków, zabarwionych wszystkimi kolorami" tęczy a tak odmiennych przekonaniami, dążeniami i znamionami moralnemi, że równych różnic gatunkowych nie zawierała arka Noego. Kiedy w ostatniem dwudziestoleciu główny punkt ciężkości myśli, uczuć i zabiegów społeczeństwa polskiego przesunął się ku obronie narodowości i oświacie ludu, powstała wielka gromada ludzi najrozmaitszego charakteru, która podjęła oba te zadania i która przez pewien młyn dziennikarski, postawiony w Galicyi na tym prądzie, nazwana została narodową demokracyą. Trzeba przyznać, że śród niej znalazły się jednostki i prace wysokiego znaczenia społecznego i trwałej zasługi, ale to nie stanowi rachunku „partyi". Nie może być ochrzczona takiem mianem różnorodna gmina, której wójci i sołtysi stawiają różne drogowskazy, łącząc przeciwległe bieguny, dowodzą swej opozycyjności — szkalowaniem żywiołów opozycyjnych, demokratyzmu — zalotami do arystokracyi, i oporem przeciwko bezpośredniemu i powszechnemu głosowaniu, przyjaźni dla ludu—żądaniem dla niego patronatu dworu i plebanii.

Cóż to wreszcie za partya, która po kilkunastoletniem istnieniu nie mogła się zdobyć na żaden określony program i gdyby nie nacisk wypadków i nie stanowcze wystąpienia innych stronnictw, dotąd by go nie miała? „Jej programu nie znamy" — pisał jeszcze przed paru tygodniami Batiuszkow w najpoważniejszym z miesięczników rosyjskich (*Bożyj Mir*). Tego programu właściwie dotąd niema, bo ogłoszony w *Rusi* oślizły, wymykający się z rąk jak piskorz, jest raczej pobieżną notatką o „najpilniejszych potrzebach", w której brak nawet oznaczenia tak zasadniczego stosunku, jak pożądany przez „partyę" stosunek Królestwa Polskiego do Cesarstwa *). Na ten temat powiedziano tylko w punkcie VII coś zagadkowego, co świadczy, że Solon w tej gminie jeszcze się nie narodził. Twór stosunków nieokreślonych i niewymagających ścisłości w wyrażaniu żądań, narodowa demokracya, wbrew twierdzeniu *Rusi*, nie wystarcza obecnym potrzebom i zaczyna się rozpadać na swe części składowe. Nie trudno wywróżyć, że znaczna jej część przylegnie do konserwatyzmu, resztą podzielą się inne stronnictwa. Dotychczas członkowie tej gminy stawali przy gościńcu i przysiadali się do nadjeżdżających cudzych wozów, udając potem, że przybyli do celu na własnych. Teraz muszą oni sprawić sobie rzeczywiście własne—czego szlachetniejszym z nich szczerze życzę.

Już z artykułu *Rusi* widać, że „około drugorzędnej grupy postępowo-demokratycznej" zaczęły krążyć komary, usiłujące zaszczepić jej malaryę. Chociaż oprócz wzmianki o uprawnieniu zmów robotniczych, przyjętem dziś przez ustawodawstwa postępowe, niema w jej programie nawet echa walki klas, sufler podszepnął, że „bierze ona pod uwagę *przeważnie* interesy robotnicze i *dlatego* bliższa jest socyalistom". Niedość tego. *Czas* krakowski, poznawszy ten spowinowacony z socyalizmem program, woła radośnie, że jest to „*ten sam*, który przed kilkudziesięciu laty ośmieliła się wysunąć nieliczna grupa *najumiarkowańszych* i trzeźwo myślących Polaków ku *zgorszeniu ogółu*". Czy ten stary grzesznik kpi, czy o drogę pyta? W każdym razie na spotkaniu się dwu sprzecznych kłamców prawda korzysta.

Co zaś do znaczenia polityczno-społecznego tej „drugorzędnej grupy", to zdaje mi się, że ją zważono w *Rusi* niedokładnie. Dzikie kaczki prosto z jajek wypływają na wodę, ale stronnictwa po kilku miesiącach życia jeszcze nie imponują światu swoją działalnością. Wszakże nawet po tak krótkim czasie na rachunek postępowych demokratów już można zapisać:

1) dali oni najjaśniejszą i najszerszą formułę stosunku Królestwa Polskiego do państwa rosyjskiego,

2) zaostrzyli nią polityczną świadomość społeczeństwa polskiego, podnieśli poziom jego żądań i skłonili inne stronnictwa do ściślejszego określenia swych programów,

3) zaznajomili społeczeństwo rosyjskie ze szczerem wyznaniem wiary politycznej większości Polaków. *)

Jestem przekonany, że partya ta szybko się rozwinie i odegra ważną rolę. Zresztą po co proroctwa? Wypadki tak pędzą, że nie warto wróżyć. Organizacye nieudolne — jak zawsze — zginą, dzielne dowiodą swej żywotności. Od niej zależy wartość partyi, a nie od tego, kto siądzie w budce

*) Oto dosłowne brzmienie tego manifestu „demokracyi," w którym nic niema, ani jednego słowa demokratycznego:

I. „Przywrócenie języka polskiego, jako urzędowego we wszystkich dziedzinach życia publicznego, w administracyi i w sądownictwie, oraz jako wykładowego języka we wszystkich zakładach naukowych.

II. Przywrócenie pełnych praw Kościołowi rzymsko-katolickiemu. Przyznanie wolności wyznania unitom. Zupełna wolność wszystkich wyznań i obrządków.

III. Oparcie zarządu krajem i jego administracyi na żywiole miejscowym.

IV. Zaprowadzenie odpowiadającego potrzebom kraju samorządu lokalnego z udziałem wszystkich warstw ludności.

V. Odbywanie powinności wojskowej w czasie pokoju przez miejscowych popisowych w wojskach, rozmieszczonych w Królestwie Polskiem.

VI. Zniesienie w całem państwie wszystkich wyjątkowych ustaw i rozporządzeń, wymierzonych przeciwko Polakom i zniesienie systemu pasportowego (!); nadanie mieszkańcom Królestwa Polskiego rękojmi praw osobistych i obywatelskich, a w tym kierunku przedewszystkiem uznanie nietykalności osobistej i mieszkania prywatnego; nadanie swobody słowa i prasy, swobody zgromadzeń i związków.

VII. Przystosowanie do odrębnych właściwości kraju (?) i warunków miejscowych oraz do historycznej tradycyi całego ustroju krajowego (?) tj. ustawodawstwa, systemu administracyi, urządzenia sądów i procedury sądowej, oświaty narodowej i oparcia tych urządzeń na osobnym dla Królestwa Polskiego budżecie. (!)

Wypracowanie tej reformy powinno być powierzone osobom, obeznanym dokładnie z miejscowymi warunkami, posiadającym zaufanie społeczeństwa polskiego, a więc powołanym do tego dzieła w drodze wyborów."

Zapewne, możnaby wyrazić się jeszcze mętniej.

---

szego. Braliśmy więc flaszki z najwyższej półki, wspaniale etykietowane, które tam stały głównie dla dekoracyi, zawartość ich rozlewaliśmy najlepszym przyjaciołom i wypijali, płacąc bajecznie wysokie sumy.

Evans był najgorszy. Ostatnia jego koszula jedwabna wyglądała, jak łachman, jej jasne barwy wypełzły od słońca i deszczu, a rękawy były bardzo podarte. Ale on też z godnością zażądał kolejki. Zdawał się być panem całego szynku, ba! całego świata. My, reszta, płaciliśmy za kolejkę okrągłe trzy dolary. Evans zapytał, czy nie mógłby dostać kilku kolejek po sześć dolarów. W tej nędznej budzie niema nic godnego tych, w których towarzystwie tu jestem — mówił. Wtedy to właśnie schodziły z najwyższych półek owe flaszki osobliwe.

Z niezrównaną serdecznością odciągnął mnie on na stronę, usiłując namówić, abym towarzyszył mu do lasów w Wisconsinie, gdzie przez zimę rąbalibyśmy drzewo na opał. Skoro tylko zaopatrzy się w nowe koszule, parę spodni i kilka nowych powieści, puści się w las—opowiadał—i pozostanie tam do wiosny. Wtedy poszuka sobie znowu zajęcia na preryach. Tak żył. Od lat dwunastu dzielił swój czas między las i prerye a tak się do tego przyzwyczaił, że już samo z siebie wszystko szło tym porządkiem.

Kiedym jednak zapytał, co go pchnęło na tę drogę, nie odpowiedział mi—jak zwykle pijani—długą, żałosną historyą, lecz jednem, jedynem słowem: okoliczności!

— Jakie? zapytałem.

— Okoliczności—powtórzył. I nie wydobyłem z niego więcej.

Widziałem go później, wieczorem w pokoiku, przylegającym do szynku, gdzie grano w kości. Evans przegrywał. Był trochę pijany. Gdym wszedł, pokazał mi kilka papierków, mówiąc:

— Mam jeszcze pieniądze, patrz!

Niektórzy radzili mu przestać grać; jeden z jego rodaków, Irlandczyk, nazwiskiem O'Brien, zwrócił mu uwagę, że te pieniądze potrzebne mu będą na drogę. Evans rozgniewał się.

— Nie, na podróż musisz mi ty pożyczyć—rzekł.

O'Brien odmówił i wyszedł.

To zirytowało Evansa. Postawił wszystko, co miał i przegrał. Przyjął to ze spokojem. Zapalił cygaro i z uśmiechem odezwał się do mnie:

— A ty pożyczysz mi na drogę?

Byłem nieco odurzony świńskiem winem z najwyższych półek, więc otworzyłem bluzę i podałem Evansowi pugilares ze wszystkiem, co w niem było. Uczyniłem to, chcąc mu okazać, jak chętnie pożyczę mu pieniędzy na podróż i pozwoliłem, aby sam sobie wziął, ile mu trzeba. Spojrzał na mnie i na pugilares. Dziwne wzruszenie owładnęło nim, otworzył i zobaczył, że to był cały mój majątek. Gdy znów spojrzał na mnie, skinąłem mu tylko głową. On ten ruch pojął fałszywie. Myślał, że daję mu wszystko.

— Dziękuję ci!—powiedział.

I ku memu przerażeniu postawił moje pieniądze i rozpoczął grę na nowo.

W pierwszej chwili chciałem protestować, ale dałem spokój.—Niech sobie używa pieniędzy na drogę, jak mu się podoba — pomyślałem.—Ale gdyby zaczął przegrywać, odbiorę mu resztę.

Ale Evans już nie przegrywał. Jak gdyby nagle otrzeźwiał, grał szybko i pewnie. Zaufanie, okazane mu wobec tylu kolegów, przeistoczyło go. Siedział wyprostowany i milczący na beczce z wina, która mu służyła za stołek, stawiał i zgarniał wygraną. Jeżeli przegrał, stawiał podwójnie; w ten sposób przegrał trzy razy z rzędu i za każdym razem podwajał stawkę, w końcu zabrał wszystko. Potem postawił pięć dola-

suflerskiej jakiegoś dziennika i co mu podpowie. Nie radzę tą drogą pędzić do sławy, bo można bardzo łatwo narazić się na przygodę Absalona. *W.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ciekawość przeniosła się z lądu na morze. Co zrobi admirał Rożestwienskij, co adm. Togo, gdzie i kiedy odbędzie się pierwsza rozprawa? O admirale rosyjskim wiadomo, co dotychczas robił i gdzie przebywał. Korzystał z gościnności francuskiej w zatoce Annamu Kamranh, zaopatrzył się swobodnie w węgiel i inne potrzeby, naprawił uszkodzenia, pooczyszczał okręty z alg, wypoczął i ćwiczył się: był jak u siebie w domu, tak dalece, że chwytał statki niemieckie i angielskie, przechodzące mimo obranego stanowiska. Trwało to od d. 12 b. m., utajono wszakże datę i dopiero 16-go przyznano fakt, jakoby zaszły dwoma dniami wcześniej. Oczywiście, nie mogło się to stać bez wiedzy gubernatora Kochinchiny, p. Beau, stało się więc z wiedzą rządu francuskiego. Gdy Japonia zażądała wyjaśnień, rząd ten przyrzekł zasięgnąć wiadomości od władz miejscowych, czy eskadra rzeczywiście jest i czy nie po za obrębem wód terytoryalnych? Gdy prawdziwości faktu zaprzeczyć już nie mógł, notę japońską okazał rządowi rosyjskiemu. Wtedy dopiero Rożestwienskij otrzymał rozkaz opuszczenia zatoki, ale nie odrazu go usłuchał. Fakt gwałcący neutralność, przeciągnął się do 22 b. m., a przy znanej bezwzględności admirała, wątpić można zali istotnie tego już dnia flaga rosyjska pożegnała się z tak gościnną zatoką. Sprawa trzech mil od brzegu, uświęconych przez zwyczaje międzypaństwowe, nie ma w danym wypadku żadnego znaczenia; zatoka bowiem jest zamkniętą, wpływa się do niej jak do portu. Japończycy stoją u Formozy; widziano ich jakoby i pod Manillą. Prawdopodobnie w tamtych stronach przyjdzie do spotkania się nieprzyjaciół. Adm. Rożestwienskij doczekał się Niebogatowa, widzianego w d. 23 b. m. o 30 mil morskich od Saigonu.

Poruszyli się Anglicy z Hong Kongu i Amerykanie z Filipin. Poruszyły się i ich gabinety. Dążenie p. Haya do utrzymania neutralności w wojnie zbiegło się z usiłowaniami Anglii do utrzymania Francyi na wodzy, oczywiście, we własnym interesie dla uniknienia *casus foederis*. Musiał p. Delcassé wstrzymać natarcie żywiołów rosyjskich w Izbie, musiał i p. Rouvier zaznaczyć ogólnikowo, że Francya sama stoi na straży swej neutralności. Wszystko było niezręczną grą w zakryte karty.

Na lądzie nic się nie rusza. Japończycy stoją bliżej Mukdenu i Tie-lingu, niż można było mniemać po pierwszych doniesieniach. Najdalszym punktem, do którego sięgają na drodze północnej, jest Czantu-fu. Układ sił obustronnych coraz więcej przypomina Laojang i Mugden, ale z odwróconymi frontami i odwróconemi też rolami strategicznemi. Japończycy stoją tak jak gdyby się bronić chcieli przeciwko natarciu od północy; środek mają w Tiolingbu. Czy posunęli się ku Kirynowi? wciąż jeszcze niema pewności niezbitej.

W Europie królowie podróżują, Grecy napadają na Bulgarów, Serbowie na Greków: wszyscy jęczą na Turcyę, a zapowiedziane wystąpienie dwu mocarstw zachodnich każe na siebie przydługo już czekać. Kreta ogłosiła się prowincyą grecką. Dyplomaci i dowódcy miejscowi nie uznają tego aktu, i coraz bardziej się srożą, z coraz mniejszem prawdopodobieństwem skutku.

W jednym czasie d. 26—8 b. m. zjechać się mieli w Wenecyi pp. Tittoni i Gołuchowski, oraz cesarz Wilhelm, który jednak wypiera się zamiaru przyjęcia któregokolwiek z nich na posłuchaniu. Wizyta ministrów ma cel niewiadomy, z formy jest rewizytą.

W Peszcie wczasy świąteczne. Dnia 3 maja zbiera się na nowo sejm, a dnia 6 t. m. przyjeżdża znowu cesarz Franciszek na nowe próby — cierpliwości Węgrów.

ŻYCIE SPOŁECZNE

WIDZENIE

Miałam sen...

Nie pamiętam, czy to było miasto, czy wieś, kraj, czy inne jakie zbiorowisko ludzkie. Zbiorowisko to żyło, ruszało się, zabiegało, nawet walczyło na pięści—ot, zwykłe kotłowanie dnia powszedniego...

Śmierć, cierpienie, radość, zadowolenie, tępy spokój, dumny wyraz przewagi, uniżoność, płaszczenie się i łaszące się pochlebstwo, zwykli towarzysze życia przeciskali się wśród ciżby. A wkoło kłębka kotłujących istnień i ich emanacyi otchłanna przestrzeń, ciemność i nic, nic... prócz zimnomartwego szyderstwa gwiazd...

Czułem, że sen zaczyna mnie opuszczać; już zatracać się zwolna poczęło widzenie, gdy wtem, gdzieś, hen, w którejś stronie wykwitła nagła jasność snopa promieni, a w jej blasku ukazała się granitowa, niedostępna skała.

Całe, przelewające się dotąd bezładnie mrowisko ludzkie, drgnęło, jak jeden mąż, jakiś okrzyk dziwny przeszył powietrze, i wszystko zwróciło się ku skale owej i poznałem, że się ona dźwignęła tam, gdzie nie był dotąd nikt—na przedzie.

Nie mogłem oderwać oczu od zalewanej coraz nową jasnością tablicy skalnej, a na niej mnie i oczom całego tłumu ukazywać się poczęły napisy, idee, hasła. Jedne błyszczały złotem szczerem, innych pozłota zdążyła się zetrzeć, jeszcze inne popielały już tylko zgliszczami dawnych zarzewi. Niemniej całe mrowisko ludzkie rzuciło się tam, gdzie lała światło wszelakie odległa miraż—skała, widać było w tłumie niepowstrzymany pęd ku stronie nadzwyczajnej, nieoczekiwanej, nieznanej, gdzie jaśniał... drogowskaz jedyny.

Z rozczuleniem patrzyłem na rozbałwaniony, niepowstrzymany ruch i marzyć już zaczynałem o tej chwili serdecznej, gdy ludzkość skały owej dosięgnie i znów zatracać począłem świadomość tego, co będzie wówczas...

Raz jeszcze spojrzałem na tłum głębokiem wejrzeniem duszy, żądnej rozwiązać zagadkę wiekuistego sfinksa i nagle dreszcz okrutnego przerażenia mię przeszył, a włosy zdrętwiałym lasem podniosły mi się na głowie.

Ten tłum wielki, niepowstrzymanie pędzący w dal, naprzód, ku jaśniejącej skale; ten tłum pnący się po lekkiej pochyłości ku górze, nie poruszał się wcale w przestrzeni. Jakiś dziwny jęk nieświadomej niemocy, uniósł się nad nim, a wraz z jękiem tym piorun myśli przeszył całą świadomość moją.

I ujrzałem, że ten cały tłum pędził po płótnie pochyłem bez końca, które mu się wciąż usuwało z pod nóg...

Olbrzymi deptak...

Szeroko rozwarłem przerażone oczy... Tam, w nieskończonej dali jaśniała niebotyczna skała, a tu tłum przewalający się w jękliwej dążeń bezsile...

Wpatrzyłem się głębiej i ujrzałem jak na skraju płótna powstały nieruchome, jak słupy, trybuny, a na nich ukazali się niby mówcy — wodze i kazać masom poczęli. Lica ich były spokojne i obrzękłe; na trybunach stojąc, wolni byli od wysiłków pędu.

---

rów, mówiąc, że jeśli teraz wygra, przestanie grać.

Przegrał, więc grał dalej. Po upływie godziny, zwrócił mi mój pugilares z pieniędzmi; w czasie gry liczył skrupulatnie. Sam posiadał teraz paczkę banknotów. Grał dalej. Wtem nagle postawił wszystko, co miał. Szmer przeszedł wśród widzów, którzy stali naokoło i śledzili przebieg gry. Evans odezwał się:

— Czy przegram, czy wygram, przestanę.

Wygrał. I wstał.

— Proszę mi wypłacić—powiedział.

— Jutro — odparł bankier. — Dziś nie mam. Na jutro się postaram. Evans przystał.

— Dobrze, a zatem jutro.

Gdyśmy mieli wychodzić, wkroczyło ciężkim krokiem kilku ludzi. Nieśli oni jakieś pogruchotane kości. Był to Irlandczyk, O'Brien, który Evansowi nie chciał pożyczyć pieniędzy na drogę. Właśnie przejechał go pociąg, wiozący pszenicę, odciął mu obie nogi, jednę nawet wysoko, u samego uda. Nie żył już. Wyszedł z szynku i w ciemności wpadł pod same koła pociągu. Ciało złożono na ziemi i przykryto...

Pokładliśmy się, gdzie kto mógł; niektórzy na podłodze w samym szynku. Valdreseńczyk i ja znaleźliśmy sobie w mieście jakąś szopę. Rano ujrzeliśmy Evansa, idącego ulicą.

— Dostałeś pieniądze?—zapytał Valdreseńczyk.

— Jeszcze nie—odparł.—Byłem w polu i wykopałem dół dla naszego kolegi.

Pogrzebaliśmy O'Briena za miastem w skrzyni, którąśmy znaleźli gdzieś pod domem. Ponieważ ciało było obcięte, paka okazała się dość długą. Nie śpiewaliśmy, ani nie odprawiali modłów, lecz przybyliśmy wszyscy i staliśmy chwilę z kapeluszami w ręku. Obrzęd się skończył.

Kiedy Evans przyszedł po wygrane pieniądze, okazało się, że sprytny bankier umknął. I to przyjął Irlandczyk z takim samym spokojem, jak wszystko. Miał jeszcze dużo pieniędzy, mógł sobie bilet kupić, i koszule, spodnie i powieści. Więc był wyekwipowany na zimę.

Pozostaliśmy w mieście do wieczora dnia następnego i niemal wypili wszystko, co było w szynku. Wielu ogołociło się doszczętnie z grosza, a że nie mogli kupić sobie nawet biletu więc, przekradli się do wagonów towarowych, gdzie zagrzebali się w pszenicy. Ale stary, garbaty kucharz, Norwegczyk z Jowy, źle wyszedł na tem. Udało mu się ukryć szczęśliwie w pszenicy, lecz nie mógł wytrzymać i zaczął swym kobiecym głosikiem wyśpiewywać jakieś sprośne piosenki. Znaleziono go i wyrzucono. Okazało się, że miał dość pieniędzy, aby nawet nam wszystkim pokupować bilety!..

Rozproszyliśmy się na wsze strony. Valdresen osiadł w jakiemś mieście w Minnesocie, kucharz puścił się na zachód, nad ocean Spokojny. A Evans zapewne jeszcze do tej chwili chodzi w jedwabnych koszulach i rozrzuca pieniądze. Co lato znajduje się na preryach, gdzie zbiera pszenicę a co zimę siedzi w lasach Wisconsinu i rąbie drzewo. Takie jest jego życie. Może równie dobre, jak każde inne.

Z norw. przeł. *J. Klemensiewiczowa.*

A coraz to któraś z trybun zapadała się z trzaskiem i wodze chwilowi lecieli w otchłań, a na ich miejscu ukazywali się nowi. Wsłuchałem się w ich mowy: wszystkie przeklinały daleką skałę, nawoływały do spokoju i zgody z losem i wzywały do powrotu do dawnych bezładnych kotłowań — bez drogowskazów. — A trybuny zapadały, zapadały się wciąż...

Widziałem, jak tłum tratował braci, bliźnich, widziałem, jak przywódcy pędzili na czele po przez trupy i krew. Widziałem ludzi świadomych, co z płaczem głębokim duszy przeciskali się nie tam naprzód ku skale dalekiej, ale ku skrajom straszliwego płótna i tu nad otchłanią pochylali się z rozkoszą by rozpęd machiny zazębić.

Krótki krzyk i łomot gruchotanych kości, chwilowe drgnięcie płótna, w którego tryby coś wpadło—oto wszystko, co zostawało z świadomości ofiary. I tylko gdy płótnem częściej poczęły wstrząsać te dreszcze, coraz szaleńszym i niepowstrzymanym stawał się pęd tłumu, coraz gęściej waliły się bez końca trybuny, coraz krwawiej ociekał straszliwy deptak.

Aż w pewnej chwili wszyscy, jak fala rozbitków rzucili się z zerwanego promu odpychanego przez burzę i wiatr przeciwny od brzegu. Jak fala na brzeg w chwili rozemdlenia huraganu, tak tłum rzucił się naprzód ze straszliwego płótna. Trzask trybun, zgrzyt walców i trybów, przeraźliwy ryk zwycięstwa i jęk ginących w międzybrzeżnej otchłani zwiastowały wylądowanie mas z okrutnego deptaka...

Płótno stanęło nieme, ociekłe purpurą krwi, trupami zawalone, jak lasu świeży zrąb, a tłum w nowem natchnieniu obłędnego rozpędu gnał ku skale. Ale ja, com widział to wszystko, widziałem też, że ów upragniony wyladowań brzeg, ów nowy grunt, na który zwalił się tłum, pędził znów pod nim, pędził wstecz, jak nowe płótno bez końca, nowy deptak życia...

Zbudzono mię...

I myślałem, czy to com widział, było dziełem Boga, szatana, czy poprostu ludzkiem.

I. K. G.

Listy z Niemiec.

Reakcya niemiecka zatacza coraz szersze koła. Era „soziales Königtum"—zbankrutowała. Kto stara się ją odnowić — ośmiesza się. Biedny Bülow! Gdy objął godność pierwszego urzędnika rzeszy niemieckiej i wypowiedział w parlamencie pierwszą mowę kanclerską, krzyknięto mu z ław lewicy, że jest wstecznikiem, jak wszyscy poprzedni kanclerze. Bülow odpowiedział: czekajcie panowie, jeszcze mnie nie znacie! Ale teraz go znają — bardzo dobrze. Taryfa celna, polityka zaostrzonej hakaty, prawo o osadnictwie, czułe porozumiewanie się rządu z klerykałami, planowane klerykalne prawo szkolne, skrajne wstecznictwo społeczne—to wszystko było przeprowadzone pod firmą, z wiedzą i wolą Bülowa. Elegancki kanclerz chce jednak uchodzić za człowieka postępowego. Kilkanaście dni temu, przedkładając w sejmie pruskim małoznaczącą nowelę górniczą — o której już pisałem — Bülow odświeżył legendę o „soziales königtum" Hohenzollernów. Demagogia była w tym wypadku podwójna; popierwsze trzeba było pokazać wzburzonym tłumom robotniczym, że reformy będą przeprowadzone w myśl „społecznego posłannictwa" pruskiego domu panującego i wzbudzić choćby iskrę przywiązania do istniejącego ustroju państwowego — podrugie chodziło o wywarcie potężnej presyi na sfery kapitalistyczne, tworzące większość sejmu, żeby choć cokolwiek ustąpiły na korzyść robotników, by pierwszego celu nie unicestwić. W tym duchu przemawiał Bülow. Ani jedna, ani druga strona nie dała się wziąć na lep. Nieubłagana walka klasowa przechodzi nad płytką demagogią do porządku dziennego. Prawie jednocześnie, gdy Bülow przemawiał, odbywał się w Berlinie kongres górników z całych Prus, zwołany przez wszystkie organizacye górnicze. Socyalistyczni, klerykalni, narodowo-polscy i liberalni górnicy oświadczyli jednomyślnie, że prawo rządowe w żaden sposób ich nie zadawala i powtórzyli znane swe żądania w imieniu 500,000 górników. Silniejszą jeszcze była demokracya kapitalistyczna w sejmie, niewiele warta nowela, wypracowana przez rząd, została w decydujących punktach tak znacznie zmieniona, że nie posiada już ani śladu postępu społecznego! Już przedtem zainteresowani kapitaliści protestowali gorąco przeciwko zamierzonym, drobnym reformom, na czele protestujących byli oczywiście kapitaliści górnośląscy, bezwzględni „panowie" 100.000 robotników polskich. Przedstawiciel najbogatszej spółki górnośląskiej zaprotestował przedewszystkiem przeciwko obowiązkowemu ustanowieniu wydziałów robotniczych, twierdząc, że w tych wydziałach na G. Śląsku będzie panowała agitacya polska i socyalistyczna. Wreszcie żądał, zaprowadzenia przepisów karnych (do 2000 marek lub do 6 miesięcy więzienia) za podbudzanie do strajku lub do zaprzestania pracy przed upływem kontraktu. Komisya sejmowa zastosowała się w znacznej części do życzeń baronów kopalnianych. Pozostawiono wydziały robotnicze,—ale wybory będą jawne; wydziałom i członkom wydziału zakazano działalności politycznej.— co oznacza zniesienie praw politycznych dla najinteligentniejszych robotników, których się zwykle do wydziałów wybiera. Zniesiono sanitarny dzień pracy, a pozostawiono tylko kompetencyę władz górniczych do regulowania dnia pracy na pojedyńczych kopalniach. Za złamanie kontraktu wolno wytrącać zarobek tygodniowy.

W takiem brzmieniu nowela nie przedstawia najmniejszej wartości. Cóż rząd uczyni teraz? Jedyny moralny ratunek dla niego—to cofnięcie projektu z sejmu i przedłożenie odpowiedniego prawa w parlamencie. Ale tego rząd nie uczyni — „monarchia społeczna" jest aż nadto spokrewniona z butnym, ani na krok nieustępującym kapitałem.

Niedawno temu „Vorwärts" ogłosił niezmiernie ciekawy dokument poufny, wykazujący stopień brutalności, zorganizowanego kapitalizmu względem klasy pracującej. 18 marca 1905 r. odbyło się posiedzenie zarządu stowarzyszenia „związków pracodawców niemieckich." Na posiedzeniu poseł Menck z Altony zdał sprawozdanie „o wydalaniu robotników". W sprawozdaniu tem czytamy: „Związek zajmował się dokładnie kwestyą, jak pracodawcy mogą się najlepiej bronić przed bezustannymi strajkami zorganizownizowanych robotników i zajął również stanowisko zabezpieczenia strajkowego. Związek nie może się jednak tem zadowolić, musi natomiast zbadać wszelkie możliwe środki ochronne pracodawców i proponować odpowiednie zaostrzenia przeciw strajkom."

Jednym z najpoważniejszych środków obronnych pracodawców jest wydalenie robotników.

Używa się go tam, gdzie organizacya robotnicza stara się przeprowadzić pewne żądanie za pomocą pojedyńczych strajków, następujących jeden po drugim. Następnie sprawozdawca roztrząsa techniczną stronę pozbawiania robotników pracy; dotychczas w razie strajku w jednej fabryce, odbierano pracę wszystkim robotnikom danego zawodu, albo w mieście, gdzie strajk wybuchł lub w szerszym okręgu. Wydalenia takie i przemysłowcom przynoszą olbrzymie straty. „Usunięcie tylko części robotników pozostaje częstokroć bez wpływu na organizacye robotnicze, ponieważ wydalający pracodawcy pozbawiają pracy najpierw najgorszych, a to są zwykle ludzie młodzi, których można z łatwością wysłać do innych miejscowości". Z tych względów sprawozdawca podaje inny plan: w razie uchwały wydalania wyrzucać robotników podług alfabetu. „W ten sposób dotknie ono młodych i starych, dobrych i niezdolnych, kawalerów i żonatych, a przeto jest dotkliwszem dla robotników. Wydalania te byłyby jeszcze dotkliwszemi, gdyby w odpowiedzi na kilka strajków pojedyńczych nastąpiło wyrzucenie wszystkich robotników danego zawodu w całych Niemczech, których nazwisko ma początkową literę A, potem z B i C i t. d.". Podług planu sprawozdawcy wyrzucanie z literą A ma się powtarzać choćby kilka razy na rok, aby znękać i zmusić organizacye robotnicze do płacenia im nietylko wsparcia strajkowego, lecz całkowitego zarobku — czyli zmarnowania kas robotniczych. Sprawozdawca przyznaje, że niewinni będą cierpieć, lecz dodaje, że trzeba sprawę rozpatrzeć bez wszelkich sentymentalności!

Oto projekt, nad którym obecnie zastanawiają się kapitaliści niemieccy!

Jeżeli dodamy bezustanne surowe wyroki sądowe na strajkujących robotników—w tych dniach skazano znowu w Westfalii kilku górników polskich za drobne wybryki na kilka lat więzienia,—bezustanne szykany policyjne, zupełną stagnacyę w prawodawstwie społecznem—to mamy obraz niemieckiego życia społecznego, charakteryzującego walkę klasową w dość rozwiniętem stadyum.

J. H.

UWAGI
w sprawie wychodźstwa zamorskiego.

(Ciąg dalszy).

Osadnictwo przeprowadzają osoby prywatne, kompanie kolejowe, kongregacye kościelne, rządy prowincyonalne i rząd związkowy. Nie mogąc wchodzić w szczegółowe omawianie każdego z tych rodzajów kolonizacyi, nie mogąc też się wdawać w ocenę własności przyrodzonych każdego z miejsc przeznaczonych na osadnictwo, zamieścimy tu jedynie nasz ostateczny wywód. Dla wychodźcy polskiego, pozbawionego pieniędzy, znaczenie, ma tylko kolonizacya, przeprowadzona przez rząd centralny na terytoryach podległych jego zawiadywaniu. Dla Kanady kolonizowanie niezajętych pod rolę obszarów ma pierwszorzędną wagę. Przyszłość kraju zależy od tego, jakiej wartości jest materyał ludnościowy, którym się zapełniają jego obszary. Ponieważ w Kanadzie ścierają się silnie i walczą zażarcie na wszystkich polach dwa żywioły etnograficzno - wyznaniowe, mianowicie francusko-kanadyjski katolicki i anglo-saski protestancki, przeto oba obozy nieprzejednane pragnęłyby niezajęte obszary rolne kraju osiedlić z jakich bądź względów sympatycznymi sobie ludźmi i pokrewną ludnością. To zacietrzewienie polityczne przeniesione na interesy kolonizacyjne wywołuje pewną tendencyjność i nie-

równomierność w popieraniu sprawy, zależnie od danej konstelacyi politycznej w departamencie spraw wewnętrznych. Psuje ono nieraz w praktyce system kolonizacyjny ustawowo rozumnie obmyślany, nakazujący o sprawy kolonizacyjne mieć pieczołowitość i staranie. Pomimo tego, że ustawy chronią osadnika przed wyzyskiem prywatnym, że wiele się robi dla zapobieżenia mu, pomimo że natura gleby sprzyja osadnictwu, jak również cała organizacya kraju, to jednak wychodźca polski z trudnością potrafi uporać się ze swem zadaniem.

Przyczyną jest to, że przybywa on ubogi, jak mysz kościelna, nie znając dostatecznie intensywnej gospodarki maszynowej, niezaradny z powodu swej ciemnoty i innych braków charakteru. Dostaje się on między osadników innej narodowości, którzy przybywają z pieniędzmi, ażeby intensywnie wyzyskiwać dziewiczą glebę kanadyjską. Na rynku ceny produktów rolnych są dopasowane do wydajności tej gospodarki, która dla osadnika polskiego staje się niedostępną dla wyżej wyłuszczonych powodów. A więc w stosunku do mniejszej ilości, jaką on może na swojej działce z większym mozołem wyprodukować, zastaje ceny zbyt nizkie na swoje wytwory a wysokie na wyroby fabryczne, które w pewnej mierze nabywać jest zmuszony, co narusza równowagę jego budżetu i zniechęca go.

W takich warunkach kredyt mógłby być pomocnym, lecz napotyka przeszkody ze strony ustaw, strzegących osadnika przed zaplątaniem się w sieci wierzycieli, rząd zaś nie udziela zapomóg zwrotnych, gdyż woli dla zrozumiałych powodów, ażeby na jego ziemi osiadali zamożni, bo tych nie zbraknie a biedaków dyabli prędko biorą. Z tego powodu większość wychodźców polskich w Kanadzie nie obiera sobie karyery osadniczej, lecz zostają oni wyrobnikami rolnymi lub fabrycznymi, znajdując w tem większe zadowolenie. Takie są widoki zdobyczy materyalnych dla przeciętnego wychodźcy polskiego, pospolicie roztropnego, oszczędnego i pracowitego. Dla inteligentniejszych, obrotniejszych i zaopatrzonych w pewien choćby niewielki kapitał oczywiście warunki są inne. Tacy w Kanadzie, korzystając z przywilejów przyznawanych osadnikom, z łatwością w krótkim czasie kapitał swój mogą potroić. Lokując zaś swój grosz w ziemi w Paranie, jeśli postępują ze znajomością rzeczy i bez fanaberyi oddadzą się roztropnej pracy fizycznej, mogą zapewnić sobie niezależność tak cenną dla każdego człowieka cywilizowanego. Obejmując w posiadanie ziemię, tem samem bierze się cząstkę terytoryum kraju gościnnego. Rzeczywistymi panami jego są ci, którzy są właścicielami jego ziemi i o tyle są tylko panami kraju, o ile są właścicielami gruntu. Warstwa handlowa i przemysłowa stanowi zwierzchnią warstwę ludnościową i pod wpływem tej lub innej polityki ekonomicznej łatwo podlega zniszczeniu, podczas gdy posiadaczy ziemi tylko prawdopodobne wyjałowienie ziemi zniszczyć może.

Zauważymy przy tej sposobności, że sprawa osiedlania nadmiaru zubożałej ludności krajów przeludnionych w krajach niedoludnionych powinnaby być czynnością międzynarodową, planowo obmyślaną. Świat nie jest przeludnionym i nędzy na nim mogłoby nie być, gdyby narody wyrzekły się wzajemnego mordowania się, a natomiast kulę ziemską traktowały, jak folwark wzięty we wspólne władanie i zarząd. Niestety, tak nie jest i każdy naród wysila się, ażeby cały świat zagarnąć na swój wyłączny użytek a raczej na użytek swych klas rządzących. Stąd dzikie wojny bez końca.

We wszystkich krajach wychodźtwo polskie podlega wynarodowieniu nie na mocy zetknięcia się z wyższemi kulturami, lecz całokształtu wpływów społeczno-przyrodniczych. Składa się na to zarówno oddziaływanie środowiska pojęć etycznych, prawnych, obyczajowych, narzucających się z powodu swej powszechności, jak niemniej różniczkowe działanie klimatu, zmienionego trybu życia, nowych pokarmów i napoju a nawet fauny i flory.

Możnaby zwrócić uwagę na istnienie pewnej analogii między charakterem ważniejszych przedstawicieli fauny w danej okolicy a charakterem duchowym krajowców tychże stron. Lew pustyni nie pozostaje bez wpływu bezpośredniego na charakter i obyczaje Araba.

Wszystkie wyżej wspomniane czynniki wynaradawiające wraz z tymi, które wskazać jest trudno, gdyż niepodobna wszystkiego sobie uświadomić, stanowią taką poważną siłę (jeżeli nie stanowią vis major") że żadnymi środeczkami dotąd stosowanymi, proponowanemi pokonać się nie dadzą.

Stwierdziwszy raz jakieś niedomaganie nic łatwiejszego, jak podyktować kazuistycznie teoretyczny sposób zaradzenia mu, nie troszcząc się o jego wykonalność lub niewykonalność.

Nie umiemy wskazać takiego taniego i skutecznego środka, któryby zdołał powstrzymać proces wynaradawiania się wychodźstwa polskiego. Chyba że naród polski na podobieństwo starożytnych Żydów lub nowożytnych Boerów, zabrawszy swe żony i dzieci na wozy obozowe, zamierzałby wywędrować i pod inną szerokością i długością geograficzną założyć nowe państwo. Wtedy byłoby właściwem używać wychodźstwa do zakładanie podwalin i przygotowywania gruntu pod zrąb mającej powstać organizacyi narodowej. W sprawie środków zaradczych przeciw wynaradawianiu się wychodźstwa rozmaite nasuwają się myśli. Jeżeli ono posiada odpowiednie po temu dane, ażeby w większej lub mniejszej swej części pozostać polskiem, to znajdzie w sobie potrzebną do tego siłę odporności bez mizernej interwencyi społeczeństwa w Europie. Odbędzie się wówczas w jego łonie proces dziejowy jaki miał miejsce na Śląsku pruskim. Wszelkie zwycięstwa szybkiej ręki są nietrwałe i niepewne.

Wreszcie jeżeli ten czysty typ polski, produkt rasy i jej dziejów nie jest ostatnim wyrazem doskonałości, niema potrzeby konserwowania go na wychodźstwie, natomiast właściwszem jest dać mu swobodę przyswajania sobie w nowych warunkach nowych przymiotów, a tym sposobem uzupełniania i wzbogacania się nowemi własnościami, zatracając niektóre nieprzydatne. Jak wśród świata zwierzęcego i roślinnego, tak również w łonie ustroju ludzkiego i społecznego istnieje dobór naturalny przymiotów duchowych i cielesnych w myśl wymagań przystosowania. Typ ludzki jest tem wyższy, im sfera jego przystosowalności jest rozleglejszą. Jeżeliby odkształcony na wychodźstwie typ polski mógł w pewnych warunkach zasilić dawny, to byłoby pożądanem.

Czynniki wynaradawiające wychodźstwo polskie, współistnieją ze słabszymi czynnikami wyodrębniającymi to wychodźstwo na obczyźnie; innemi słowy wynaradawianie nie odbywa się bez pewnego rodzaju przeszkód i oporu. Największej środków obronnych przeciw wynarodowieniu znaleźć można u wychodźstwa w Stanach Zjednoczonych. Przyczyną tego kilka okoliczności od Polaków zupełnie niezależnych.

(d. n.)

Filantropia klerykalna.

Przy posiedzenia francuskiej Izby Deputowanych poświęcone były rozpatrywaniu interpelacyi posła Bretona, tyczącej się prywatnych zakładów dobroczynnych, przeznaczonych dla biednej dziatwy. Interpelacya ta była już złożoną w Izbie przed 2-ma laty, w chwili, gdy głośne procesy przytułków „Dobrego Pasterza“ w Nancy i Tours ujawniły całą obłudę miłosierdzia klerykalno-burżuazyjnego. Od owego czasu dzienniki postępowe, jak: „Aurore“, „Petite République“, „Action“, „Depêche de Tours“, a nawet wielce umiarkowany „Matin“ otwierały łamy swych pism dla skarg i protestów, budzących się do samowiedzy ofiar swej dobroczynności. To też Breton wystąpił w d. 24 i 31 marca r. b. z tak bogatym materyałem dowodowym, że stanowisko obrońców, którzy w dniu 7 kwietnia podjęli się zbijać jego twierdzenia, było nader niekorzystnem i polegało jedynie na szumnej frazeologii, w której cześć dla sztandaru narodowego, tradycyi, religii zastępowała miejsce argumentów rzeczowych.

Już w r. 1882 znany filantrop T. Roussel złożył w Senacie raport, dotyczący opieki nad dziatwą, i domagał się ustanowienia poważnej kontroli nad przytułkami dla sierot, gdyż „nader często interes małoletnich jest całkiem zaniedbany, a wszystkie usiłowania skierowane ku otrzymaniu jak najwyższej wydajności ich pracy, a tem samem powiększeniu dochodów instytucyi“. Takim był wniosek długiego, sumiennego wywiadu Senatu, prowadzonego w ciągu 1881 i 1882 r.

W 17 lat później w roku 1899 dep. Fournière zwrócił uwagę parlamentu na wyzysk, jakiemu podlegają dzieci w zakładach „Dobrego Pasterza“, przeciw którym tak śmiało wystąpił wówczas biskup Turinaz, nie wahając się wystawić prawdy w całej nagości, bez względu na prześladowanie, jakie go mogło spotkać ze strony Rzymu.

Wykazał on nietylko nadużycia popełniane względem nieszczęśliwej dziatwy podczas jej pobytu w przytułku, ale i krzywdę, jaką się jej wyrządza na całe życie, nie dając ani wykształcenia, ani znajomości fachu, ani pieniężnego wynagrodzenia za długoletnią pracę, ani wreszcie moralnej pomocy i opieki.

„Powiedziałem i powtarzam, mówi biskup Turinaz, że niema w kraju całym majstra, fabrykanta, nawet żyda czy wolnomularza, któryby tak wyzyskiwał swych pracowników i tak się z nimi obchodził, jak to czynią zakonnice“.

Dep. Breton na wstępie mowy swej zaznacza, że oskarżenie swoje przeciw przytułkom dla dziatwy opiera na obfitym materyale aktów i zeznań sądowych z procesów w Nancy, Tournon, Tours, Orléans, Angers, Montbrison, Saint-Etienne, Chateauraux i Poitiers, nie potrzebował przeto w tym celu uciekać się ani do rabunku klasztorów, ani do podejścia, ani do przekupstwa. Twierdzi on, że Kongregacye t. zw. miłosierne żyją i wzbogacają się wyzyskiem dziewcząt i kobiet. Najpotężniejszą z pomiędzy wielu jest kongregacya „Dobrego Pasterza“, istniejąca od lat 70-u. Założona przez pięć zakonnic w Angers, posiada obecnie 220 klasztorów, w których pod kierunkiem 8,000 zakonnic pracuje 48,000 dziewcząt i kobiet. Na samą Francyę przypada 39 klasztorów tej nazwy.

Interpelacya Bretona nie jest jednak skierowaną wyłącznie przeciw „Dobremu Pasterzowi“, lecz przeciw wszystkim insty-

tucyom przeznaczonym dla biednych dzieci, liczba ich według ostatnich danych statystycznych wynosi 1,463, z pomiędzy tych 1,130 jest utrzymywanych przez osoby duchowne, a 333 — przez osoby świeckie. W przytułkach owych mieści się 93,438 małoletnich, z których na zakłady świeckie przypada 17,000, a na zakłady religijne 76,438.

Otóż na podstawie opinii Rady stanu z d. 4 stycznia 1892 roku rząd pozbawiony jest prawa kontroli i nadzoru nad tymi zakładami. Tę autonomię rozszerzyło jeszcze prawo z dnia 1 lipca 1901 roku. Pomimo iż paryski międzynarodowy kongres dobroczynności w 1900 roku zgodnie z Najwyższą Radą dobroczynności miejskiej, jakoteż z Komitetem centralnym dobroczynności prywatnej postawił wniosek jednomyślnie przyjęty, że pomiędzy dobroczynnością publiczną a prywatną powinna nastąpić najzupełniejsza harmonia działania i że dla osiągnięcia tego celu dobroczynność prywatna winna się poddać prawem przepisanej kontroli państwowej.

Tym też duchem natchnione były dwa projekty praw, dotyczących nadzoru nad prywatnymi zakładami dobroczynnymi z d. 8 czerwca 1900 r. i 21 listopada 1902 roku, oba referowane przez Bienvenu-Martin, teraźniejszego ministra oświaty, ale nigdy niedyskutowane w Izbie. Projekta te mają na celu poddanie instytucyj dobroczynnych inspekcyi rządowej, zobowiązanie ich do dawania nauki elementarnej, jakoteż wykształcenia fachowego, oraz ustanowienia prawnego choćby jaknajmniejszego wynagrodzenia za pracę, wypłacanego w chwili opuszczania zakładu. Niewypełnianie tych warunków pociągać miało za sobą kary pieniężne, osobiste lub wreszcie zamknięcie instytucyj. Jakkolwiek umiarkowanem było to zadanie, spotkało się ono jednak z zajadłemi napaściami wsteczników, którzy dowodzili, że podobnie surowe prawodawstwo sparaliżuje szlachetną działalność filantropii prywatnej.

Przyjrzyjmy się przeto rezultatom owej wspaniałomyślności ludzi, działających w imię litości dla nieszczęśliwych, miłosierdzia chrześciańskiego oraz wszelkich innych pięknie brzmiących cnót.

Ilekroć ujawniały się fakty nieludzkiego obchodzenia się z dziatwą w owych przytułkach, obrońcy ich twierdzili zawsze, że to są niejako kolonie poprawcze, instytucye karne, bo dostają się do nich po większej części dzieci zepsute, ze złemi skłonnościami, konieczną więc jest surowa dyscyplina.

Tymczasem rzecz się ma całkiem przeciwnie, bardzo nieznacznym jest procent dzieci, których rodzice pozbyli się, nie umiejąc sobie dać z nimi rady, przeważną większość stanowią dzieci biedne oraz sieroty. Rodzice, w razie ich braku krewni lub opiekunowie, umieszczają w zakładzie dzieci w nadziei zapewnienia im chleba i dachu nad głową. Trzeba wprawdzie złożyć 120 fr. na koszta wyprawki i podpisać kontrakt, na mocy którego zobowiązują się pozostawić dziecko w przytułku aż do 21 roku życia, ale to przecież dla jego własnego szczęścia... Pocieszają się, że aż do pełnoletności nie zazna ono goryczy walki o byt, nie będzie cierpieć głodu i chłodu, krzywdy i upokorzeń...

Od chwili wejścia do takiego przytułku, dziecko staje się niewolnikiem, którego wartość zależy od wydajności pracy; odebrać go przed oznaczonym terminem niepodobna, bo należy wówczas zwrócić koszta utrzymania, co dla biednych ludzi jest nie do spełnienia.

Wszelka skarga ze strony dziecka jest niemożliwą, gdyż widzenie się z rodzicami lub opiekunami dozwolone jest tylko raz na miesiąc przez podwójną kratę i w obecności zakonnicy, korespondencya zaś musi również przejść cenzurę zwierzchności, przyczem niejednokrotnie ujawniło się, że zakonnice wysyłają listy w imieniu pensyonerek i odpowiedzi otrzymanej im nie komunikują.

Pożywienie dawane wychowankom nie odpowiada najskromniejszym wymaganiom ani co do ilości, ani co do jakości. Ze sprawozdania inspektorki dowiadujemy się, że rano o godz. 7-ej dostają zupę z cebuli na wodzie z chlebem, w południe również zupa postna i jarzyny, a raz lub dwa razy na tydzień mięso; wieczorem zupa z odpadków mięsnych lub z łupin kakaowych, niezużytkowanych przy fabrykacyi czekolady. Taka żywność oczywiście nie kosztuje więcej nad 20 do 35 centimów na głowę.

Tryb życia regulaminem przepisany jest następujący: wstawanie w półroczu letniem o godz. 5-ej, w zimowem—o godz. 4½, na pożywienie przeznaczona godzina, na lekcye również godzina, resztę czasu spędzają dziewczęta na szyciu. W jednych zakładach daje się na 50 dziewcząt różnego wieku 9 tuzinów koszul mezkich do uszycia w ciągu dnia, w innych — każdej dają dwie koszule do zrobienia na dzień. Robotę naznaczoną trzeba skończyć, choćby do późnej nocy pracując. Dozorczyni pracowni budzi usypiające nad igłą dziewczęta uderzeniem pałeczką po palcach, lub ukłóciem szpilką, co nie uwalnia od kary „dnia o suchym chlebie". Rekreacyą nazywa się pół godziny po obiedzie, gdy wolno dziewczętom *rozmawiać, szyjąc.*

Kary stosowane za najmniejsze przewinienie łamią do reszty ducha wycieńczonego pracą nad siły i niedostatecznem pożywieniem. Zauważyć w nich należy niezmierną pomysłowość i wyrafinowane okrucieństwa, połączenie cierpień moralnych i fizycznych. Do najbardziej rozpowszechnionych należą:

biczowanie po obnażonem ciele dyscypliną lub pokrzywą,

oblewanie zimną wodą bez względu na porę roku,

kaftan—nakładany na cały dzień,

zanurzanie głowy do wiadra z wodą czystą lub brudną,

całowanie nóg towarzyszek lub posługaczek.

znaczenie językiem krzyżów na podłodze w ilości nieograniczonej i bez względu na miejsce — zarówno w refektarzu, sypialni, pracowni, jak w oborze lub miejscu ustępowem,

smarowanie twarzy odchodami bydlęcymi.

wreszcie, cela więzienna mniej lub więcej przerażająca swym charakterem grobowym.

Wszystkie powyższe kary nie podlegają żadnej wątpliwości, zeznania bowiem byłych wychowanek przytułku są najzupełniej zgodne, świadczą one o zwyrodnieniu moralnem, jakiemu podlegają istoty ludzkie, żyjące w tak nienormalnych i naturze przeciwnych warunkach, jakie wytwarza życie zakonne.

Nie dziw, że podobny system wychowawczy, urągający najelementarniejszym zasadom pedagogiki i hygieny, sprowadza rezultaty opłakane tak pod względem fizycznym, jak umysłowym i moralnym. Gruźlica zabiera ogromną ilość ofiar pomiędzy najmłodszą dziatwą, te zaś dziewczęta, których organizm pozostał odporny na choroby, pracują aż do 21 roku, a nader często i dłużej, spełniając mechanicznie wyznaczone sobie zadanie, niezdolne do myślenia, do dawania sobie rady w życiu praktycznem, nieświadome czem jest świat po za obrębem przytułku; umieją one słabo czytać i pisać, a przytem nie znają żadnego fachu, któryby dał im możność zarobienia na życie. Drobiazgowa specyalizacya pracy w przytułkach uniemożliwia wychowankom znalezienie zajęcia, odpowiedniego ich umiejętności, nie dziw więc, że one się tak obawiają korzystać z prawa, jakie daje im pełnoletność i wolą dalej poddawać się jarzmu, do którego już nawykły. Fakt ten tymczasem wyzyskiwany jest jako dowód, że życie w przytułku płynie w jak najszczęśliwszych warunkach.

Zbytecznem chyba mówić, jak kolosalnymi są dochody tych instytucyj pseudodobroczynnych; wszystkie wielkie magazyny jak Louvre, Printemps, Bon Marché zaopatrują się w przytułkach „Dobrego Pasterza" w bieliznę, której nigdzie tak tanio dostać by nie mogły, a „Kurtyzany" Berlina, Wiednia i Paryża obstalowują w tych przytułkach bieliznę według modeli i pomysłów, których w handlu niema. Powstawał już na to biskup Turinaz i w swoim słynnym memoryale żądał, aby podobne roboty były usunięte z klasztorów, słowa jego jednak skutku nie przyniosły, wzgląd że są one najkorzystniejsze pod względem dochodu był dostatecznie ważnym dla kongregacyi, aby dalej je wykonywać.

Nie można pominąć jeszcze innych źródeł dochodów, jakie ciągną z nieszczęśliwej dziatwy owe przytułki, a mianowicie ze sprzedaży włosów i z asystowania ślubom i pogrzebom osób bogatszych. Pod pretekstem ofiary dla Boga lub Matki Najświętszej skłaniają dziewczęta do pozbawienia się włosów, jeśli namowa w tym duchu nie skutkuje, ogolenie głowy bywa nakazane, jako kara za próżność, kokieteryę, miłość własnego ciała. Asystowanie zaś pogrzebom i ślubom osób bogatych jest doskonałym sposobem wyłudzania pieniędzy; długie szeregi wynędzniałych dziewczątek, idących za trumną, stanowią bardzo ładną dekoracyę, która przynosi przytułkom zawsze kilka tysięcy franków.

Najlepszym, dowodem, że cała ta filantropia opiera się na interesie handlowym, jest to, że przemysłowcy zaczęli na wzór kongregacyj zakładać przytułki dla sierot oraz biednej dziatwy i wychodzą na tym interesie znakomicie, tak np. wielka fabryka gorsetów Tarcy-Oppenheim stopniowo zmniejsza ilość robotnic, w miarę tego, jak rozwija się przytułek dla sierot w Clermont, podobnież czyni Chabert, którego przytułek w Champ-la-Liouve należy do największych.

Słusznie przeto deputowany Lafferre, uzupełniając interpelacyę dep. Bretona, domaga się energicznie:

1) aby przytułek był szkołą, dającą wykształcenie elementarne i znajomość fachu,

2) aby nie ciągnął z pracy dziatwy żadnych zysków

i 3) aby wynagrodzenie za wykonywaną pracę wypłacane było dziewczętom, opuszczającym zakład.

Deputowany Steeg robi uwagę nader trafną, dlaczego dobroczynność prywatna tak wielką troskliwością otacza dziewczęta, a tak zaniedbuje chłopców, skoro w 1903 r. ilość tych ostatnich w przytułkach wynosi zaledwie 3,156, wtedy kiedy ilość dziewcząt dochodzi do 51,908. Oczywiście, biedni chłopcy tak dobrze zasługują na opiekę i pomoc, jak dziewczęta, wiadomo jednak powszechnie, że dziewczęta łatwiej i prędzej mogą się nauczyć pewnej roboty przynoszącej dochód, oraz że je łatwiej nagiąć do uległości i ślepego posłuszeństwa. Steeg wyraża żądanie, aby wszystkie instytucye t. zw. dobroczynne podlegały surowej i rzeczywistej inspekcyi, dotychczas bowiem kontrola jest najzupełniej fikcyjną, inspektorzy uskarżają się ogólnie, że na każdym kroku czynność ich jest krępowaną i uniemożliwianą, a zalęknione wychowanice przytułków na zadane pytania nie odpowiadają i zdaje się nawet wcale ich nie rozumieją.

Z takiego stanu rzeczy Steeg wyprowadza wniosek, że państwo opiekuje się jedynie dziećmi bogatemi, gdy dziecko biedne, a zwłaszcza nielegalne, jest rzeczą, którą każdy może dowolnie eksploatować i trzymać w niewoli.

Jak widzimy przeto, poruszona przez Bretona sprawa jest niezmiernie doniosłą, wykazanie istotnego charakteru i znaczenia filantropii klerykalno-burżuazyjnej skłoni parlament do zaopiekowania się losem wydziedziczonej dziatwy, a przez ograniczanie przemysłowo - handlarskiej czynności zakonów, pozwoli na podniesienie płacy robotnic.

Iza Zielińska.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Język polski w uchwale komitetu ministrów.

Część prasy warszawskiej sprawiła dobrowolnie sobie i swoim czytelnikom przykrą niespodziankę. Od pewnego czasu zaczęła ona z dziecięcą naiwnością wmawiać w rozmaite komisye i wyższe instancye szereg zamiarów, o których one wcale nie myślały i wydłubywać z najobojętniejszych wyrażeń aktów urzędowych płodne ziarna, których tam nie było. Co i kogo ta sugestya miała na celu — trudno odgadnąć. Czyżby zapomocą niej chciano oddziałać na osoby, do których ona sięgnąć nie mogła! Najenergiczniej podśrubowano nadzieję, gdy komitet ministrów wziął pod obrady sprawę języka polskiego w szkołach. Tu rozpęd optymizmu był tak gwałtowny, że *Kuryer Warszawski* w tym samym numerze puścił rakietę artykułem wstępnym i zgasił ją telegramem z Petersburga. Śród pyrotechników panowało — nie wiadomo na czem oparte — niewzruszone przekonanie, że co najmniej spełnią się rojenia ostatniego śpiewu 23 białych łabędzi. Ale i tu wiara zawiodła. Podczas bowiem gdy one cichutko kwiliły o język polski do wykładu większości przedmiotów w szkołach średnich, komitet ministrów przyznał go tylko prywatnym, w rządowych zaś dozwolił elementarnym popolsku wykładać arytmetykę, a gimnazyom udzielił prawa obowiązkowego uczenia tej mowy Polaków. Reszta — jak mówią Niemcy — pozostała ze starą lirą. Naturalnie gadatliwe wróżki umilkły, chociaż zdaje nam się, że one jakąś nadzieję sobie wymyślą. Tymczasem pociesza ich *Ruś* wcale rozsądnie. „Czy te żądania mogą odbić się echem w takiej instytucyi, jak komitet ministrów? Prosimy naszych Polaków, ażeby się zastanowili nad tem. I jeżeli tylko gruntownie rozpatrzą się w tej sprawie, nie wątpimy, do jakiego przyjdą wniosku". Ależ tak!.. *g.*

Brudni bohaterowie.

W Wilnie osądzona została sprawa trzech przestępców, którzy zabili i wysłali w koszu do Moskwy bogatego krewniaka jednego z nich. Główny bohater mordu starał się podczas śledztwa pierwiastkowego i w sądzie nadać swemu czynowi charakter rabunku usprawiedliwionego wyższemi pobudkami. Naprzód oświadczył, że udusił i ograbił wuja „z powodu różnicy w zapatrywaniach politycznych", potem wysunął potrzeby „partyi", następnie rzucał światełka to lusterkiem patryotycznem, to socyalistycznem, nie zdoławszy zbudzić w przysięgłych ani wiary, ani współczucia. Dziwny to potworek! Najkorzystniejszem dla niego przypuszczeniem, jest domysł, że zwyrodnienie pomieszało w nim idee z żądzami zbrodni i wytworzyło naturę wstrętnie chorą, w której pozacierały się granice i różnice etyczne między pojęciami. *n.*

Krzepmy swe siły.

Nietylko mrok i noc ciemna wymagają odpowiedniej siły, aby je przetrwać, aby nie ulec rozkładowi i nie osłabnąć przed świtem. I zorza, zarzewie rosnącego na dalekim horyzoncie świtania, potrzebuje mocy; płuca muszą mieć siłę, aby świeże powietrze w siebie mogły chłonąć, oczy — aby nie raziły ich promienie światła. Noc wyczerpuje, wysysa radość istnienia, odbiera siłę żywotną i czyni ludzi niezdolnymi do innego życia. Krzepmy więc siły swoje, nastrójmy ducha na ton świąteczny. Zbrodnia widzieć moc tam, gdzie jest tylko osłabienie, lecz zbrodnią też — niedojrzeć momentu, zbrodnią nie poczuć w sobie sił i, mając w duszy wielką tęsknotę, nie uderzyć młotem w stal. Odrzućmy wszelkie złudzenia, niech urojenie, że wszyscy my to — jedna jedność, zaprzestanie być kulą u nóg naszych. Co małe, co trwożliwe, co słabe, co marne — to odpaść musi, aby nie przeszkadzać tym, którzy mają w sobie chęć życia piersią całą, aby nie tamować drogi tym, którzy są młodzi i czują dość siły. Półśrodki paczą czyn i wprowadzają zamęt w szeregi. Krzepmy swe siły, swe istotne siły i czuwajmy, ażeby nie przeoczyć i nie być zapomnianymi. Małe środeczki pozostawmy ludziom połowicznym. Nam, którzy wielki cel w sercach nosimy, nie przystoi bawić si ę świecidełkami, my wiemy, czego chcemy i dokąd dążymy. A kto nie może zrzucić z siebie palącej szaty Dejaniry, kto nie może zdobyć się na co innego, jak na mydłkowanie i abstynencyę, ten niech idzie własną drogą. Ani my jemu, ani on nam nie pomoże. Krzepmy swe siły i pomnijmy, że wielki dzień wielkich serc żąda. Wszystko, co żyje, budzi się i promienieje żywotnością swą i wiarą w przyszłość. Krzepmy swe siły, aby nie marnować życia i nie pogrzebać się znowu w mrocznej piwnicy.

br.

Koło właścicieli domów.

Istnieje od jakiegoś czasu w Warszawie reprezentacya, „obywatelska" pod powyższą nazwą. W dziennikach czytamy ciągle wzmianki o jej gorliwej działalności, o jej zebraniach, dyskusyach etc. Zdawałoby się, że jeżeli ci panowie uważają się za przedstawicieli miasta, powinniby się zająć nieco jego interesami. Dotychczas jednak pochłania ich wyłącznie kwestya ulg podatkowych i to w sposób niezbyt jasny i obiecujący. Czyż na tem się kończą interesy ogólne? Wszak i w ciasnem kole właścicieli domów można napotkać tyle spraw palących. Do tych należy przedewszystkiem kwestya stosunku do policyi. Nie wdaję się tu w rozpatrzenie postępowania tej ostatniej. Idzie mi tylko o formę tego stosunku. Najniższego rzędu policyant wobec cywilusa postępuje, jak kacyk afrykański wobec najpodlejszego swego niewolnika. Nigdy nie słyszymy wyraźnego tekstu prawa, na zasadzie którego stawiają nam dość często nawet ważne żądania; czasem ktoś wspomni jakiś paragraf, lecz, co ten paragraf zawiera, pozostaje tajemnicą dla interesowanego. Załatwienie najdrobniejszego interesu w cyrkule należy do zadań wielce uciążliwych i bardzo niemiłych. Pół biedy, jeżeli kto potrafi zaimponować kanceliście cylindrem lub „czem innem takiem". W przeciwnym razie słyszy się poufałe „ty", życzliwe rady, „poszedł precz" inne w tym rodzaju słinksowe informacye. Każdy interesant, zwłaszcza mniej zamożny, traktowany jest jako podsądny, zaszczycany dopiero po długiem czekaniu, łaskawem mruknięciem: „czego chce". Otóż panowie tworzący koła, mające reprezentować interesy mieszkańców Warszawy, mogliby zająć się tą kwestyą i przyczynić się do wyjaśnienia istniejących przepisów, zakresu władzy stójkowego, rewirowego i t. d. Nie jest to wymaganie zbyt wielkie, a spełnienie go może przynieść korzyść. Dotąd na wszelkie pytania słyszy się odpowiedź: „widocznie mam prawo, kiedy to robię". Możeby przy tej sposobności odgrzebano jakiś przepis co do grzecznego obchodzenia się z publicznością i rozwiązano zagadkę: czy nos dla tabakiery, czy tabakiera dla nosa? *Z.*

Widmo cholery.

Coraz częściej przypominają nam, że epidemia się zbliża. Formują się przeróżne komisye urzędowe, odznaczające się zapachem bibulastym i — jakoś akcya niewiele się posuwa. Bezwątpienia poważne zagadnienia chwili absorbują umysły, lecz i ta sprawa nie należy do błachych. A przecież tak wielkie tu pole dla społecznej inicyatywy i samopomocy. Odczyty popularne o cholerze, porady sanitarne, uzdrowotnienie warunków życia, tworzenie szpitali, walka z nędzą i brakiem pracy, tem rodzeństwem wszelkich epidemii—nie są to rzeczy niemożliwe, nieprzewyższające siły ogółu, lecz względnie łatwe i ziszczalne. Potrzeba tylko jednego: aby inicyatywa i samopomoc nie były krępowane i uważane za przewinienie. Jeżeli wszelkim poczynaniom narzucani będą kierownicy nieproszeni i niepożądani ze względu na przygotowanie fachowe, jeżeli tylko mała cząstka ludności zostanie powołaną do asystowania urzędnikom, a nikt nie będzie miał prawa samodzielnie bez tysiącznych szykan i czepiań się—zrobić czegokolwiek dla dobra własnego i swych współobywateli, w takim razie walka z cholerą musi pozostać w granicach deklamacyi papierowej. A cholera będzie sobie hulać jak hulała przed laty. *b.*

Wystawy i publiczność.

Kuryer Codzienny przypomniał sprawę, nieraz w *Prawdzie* podnoszoną. Idzie tu o uprzystępnienie ludziom mniej zamożnym wstępu na wystawy sztuki. Ceny obecne istnieją tylko dla nielicznych wybrańców losu, i ustala się zwyczaj chodzenia na wystawę raz—do roku. Gdzieindziej, gdzie są muzea, wystawy z mniejszą stratą dla ogółu mogą zamykać swe podwoje dla szerszych mas ludności. U nas jednak, gdzie nic, literalnie nic nie uczyniono dla podniesienia kultury artystycznej, takie skąpstwo jest nietylko zaniedbaniem interesu, lecz i krzywdą społeczną. Czyż dla członków Towarzystwa, noszącego nazwę Zachęty Sztuk Pięknych byłoby to wielką stratą, gdyby raz na tydzień, czy na dwa lub trzy tygodnie otworzono wystawę bezpłatnie dla tych, którym warunki życia nie pozwalają zdobyć się na wydatek kilkudziesięciu kopiejek? Nie byłoby to żadną filantropią, lecz postępowaniem w myśl ustawy, istotną *Zachętą* do budzenia w społeczeństwie ukochania piękna. Łatwo znaleźli by się ludzie, co chętnie podjęliby się wygłaszania pogadanek i oprowadzania publiczności po wystawie. Należy tylko zająć się poruszeniem zarządu obojętnego na tę stronę swego programu. *i.*

BADANIA NAUKOWE

Th. Lipps.

Przyczynek do psychologii DEKADENTYZMU

Ciąg dalszy.

Mówiliśmy już, że wszystko, co nas otacza, poddaje nam pewne wyobrażenia: jest to suggestya z zewnątrz. Po za tem całe życie polega na bezustannej walce pomiędzy uroszczeniami pojedyńczych stanów psychicznych, (z których każdy posiada pewien byt samodzielny i dąży do wyłącznego samowładztwa), a siłą kojarzącą, która stanowi właściwe nasze „ja“. W tym razie mamy do czynienia z autosuggestyą.

Niektóre kategorye wyobrażeń posiadają w szczególnej mierze zdolność wyłącznego opanowywania duszy; do tych przedewszystkiem należą wyobrażenia zakorzenione, wyobrażenia narzucane przez autorytety, wreszcie te wszystkie, które nas bezpośrednio dotyczą, np. wyobrażenia o nas samych.

Przypuśćmy, że uległem dysocyacyi psychicznej lub jestem do niej skłonny, wówczas wyobrażenie o tem, czem jestem, co czynię lub tylko fantastyczne wyobrażenie o tem, czem mógłbym być i co zdziałać, stanie się we mnie wszechwładnem i nie potrafię już oceniać siebie podług miary stosowanej do innych, ani podług tego, czem być powinienem.

W taki sposób powstaje patologiczna i pozapatologiczna mania wielkości, powstają indywidualiści od których obecnie świat się roi, nadludzie i mesyasze. W istocie są to biedne zera, chore, zmarniałe jednostki dekadenckie.

Że skłonność do suggestyi i autosuggestyi ściśle się wiąże ze sobą, o tem aż nadto wyraźnie świadczy fakt, że owi mesyasze i owe wolne duchy na ślepo i bezkrytycznie ulegają coraz innym nadmesyaszom i coraz innych wielbią zbawców świata.

Wyobrażenie o wielkości działa na duszę szczególnej podniecająco, ze szczególną łatwością ulega dysocyacyi i powoduje ją z kolei. Nie myślę tu o wielkości wewnętrznej, która ma wszelkie prawo do panowania, mówię o potędze, jaką zdobyły w naszych czasach błyskotliwość zewnętrzna, wyrazistość, teatralność, grzmiące hasła, słowem zewnętrzna władza i honory—cały bizantyzm współczesny.

Zjawiskiem uderzającem jest charakterystyczna dla zboczeń umysłowych sprzeczność symptomatów. Dobrym przykładem tego jest połączenie maniackiej żądzy czynu z maniackim stanem przygnębienia.

I skłonność do suggestyi jednoczy w sobie sprzeczności, które napozór neutralizują się wzajemnie. Na równi z osobliwem działaniem (w nas) wyobrażeń poddawanych widzimy szczególną pobudliwość wyobrażeń, które tak się do tamtych mają, jak twierdzenie do przeczenia.

Pewne nienormalne stany psychiczne, które już wchodzą w zakres studyów psychopatologów, odróżniają się od innych stanów podobnych szczególną podatnością do suggestyi i wyraźnym automatyzmem woli, chory jednak zamiast ślepego posłuszeństwa stawia bezwzględny opór. Objaw ten nazwijmy negatywizmem—niepowstrzymaną chęcią przeczenia. Po za wymienionym stanem chorobliwym zjawisko podobne jest znane każdemu, jako ślepy upór, urok rzeczy zakazanej, dziecinny duch przeczenia.

Dla wytłomaczenia faktów powyższych musimy zauważyć, że każde nasze wyobrażenie kojarzy się niezwykle ściśle z odpowiedniem wyobrażeniem sprzecznem. Np. wyobrażenie o tem, że jutro ma być pogoda najściślej się w nas wiąże z wyobrażeniem o słocie. I za pierwszem bezwarunkowo idzie drugie.

Tu dodać należy, że te wyobrażenia przeczące właśnie wskutek swej kontrastowości opierają się asymilacyi, łatwo ulegają dysocyacyi, pozostają odosobnionemi, a wówczas zyskują przewagę w duszy i działają tłumiąco na swe otoczenie, szczególniej zaś na te wyobrażenia, przez które zostały wywołane.

I w życiu codziennem zachodzi to samo. Przypuśćmy, że pragniemy, by jutro była pogoda, wówczas może nam się wydawać, że „na przekór“ naszym życzeniom będzie słota. W tem charakterystycznem przypuszczaniu na przekór tkwi właściwość oddziaływania na nasze sądy wyobrażeń przeczących. Być może stąd też pochodzi powszechny przesąd, że pewne oczekiwanie lub twierdzenie może wywołać skutek wręcz przeciwny. To sprzeciwianie się losu jest w istocie ludziom właściwym negatywizmem, duchem przeczenia.

Mówiąc o stosunku negatywizmu do dekadencyi nie chcę bynajmniej twierdzić, że wszelki rodzaj przeczenia jest dekadenckim. Wszakże typowym objawem dekadentyzmu stało się namiętne wątpienie, lubowanie się w rozbiorze, chęć uważania wszystkiego za względne i subjektywne, wreszcie domniemane przeszacowanie wszelkich wartości.

Namiętna walka ze złem i kłamstwem jest oznaką najwyższego zdrowia duchowego, nietrudno jednak odróżnić, gdzie się zdrowie kończy i zaczyna się chory negatywizm. Naturalnie, tego tylko rozróżniać nie mogą ci, co dekadencyi sami ulegają, ani więc przywódzcy, ani durzone przez nich stado.

W duszy jednostki spotykają się rzeczy stare, zakorzenione z rzeczami nowemi. Wszystko co nowe nazwać możemy przeczeniem w szerokiem słowa tego znaczeniu. Przeczy ono bowiem przyzwyczajeniom, temu co dla nas zwykłe i znane.

Tu właśnie tkwi podstawa psychologiczna szczególnej potęgi rzeczy nowych, które posiadają niezwykłą zdolność wyodrębniania się i dysocyacyi, opierają się kojarzeniom i chcą pozostawać jedynymi panami osobowości.

Nowe z łatwością zdobywa uznanie i zwolenników. Dzieci lubią i szukają nowego. Dążność do wzbogacenia się przy pomocy „nowego“ nie jest bynajmniej objawem dekadentyzmu, lecz z tym ostatnim już mamy do czynienia, jeśli wśród ludzi wykształconych spotykamy umiłowanie nowego dlatego właśnie, że jest nowe, kult modernizmu. W tem, jak wiadomo, dalekośmy zaszli.

Oprócz bezmyślnego kultu modernizmu mamy kult sensacyi i oryginalności za wszelką cenę, która się nieraz utożsamia z genialnością.

Tu również mamy do czynienia z suggestyą i autosuggestyą, z uległością wobec autorytetów, w gruncie rzeczy zawsze z tą samą dezorganizacyą psychiczną.

Obok kultu oryginalności mamy jeszcze kult cudownego i mistycznego, do którego włączyć można w sztuce kult symbolizmu mistycznego.

Wreszcie wiadomo, że spirytyzm, medyumizm, okultyzm, teozofizm, Christian Science i t. p. odbywają obecnie swój pochód tryumfalny po świecie. Bezwątpienia pomiędzy niebem a ziemią są rzeczy, o których się nie śniło wiedzy patentowanej i nie należy odrzucać bez sprawdzenia tego, co się nie zgadza z szablonowym poglądem na świat. Tym jednak, o których tu myślimy, nie chodzi o badanie, oni nie pytają, czy okultyzm lub medyumizm są prawdą; przyjmują, że tak jest, a sama tajemniczość przedmiotu pozbawia ich możności rozróżniania możliwego od niemożliwego, faktu od złudzenia lub szalbierstwa.

Istnieje wreszcie negatywizm w najjaskrawszem znaczeniu tego słowa. Bezwzględnem przeczeniem jest brzydota, jak najszerzej pojęta. Jest ona wrogiem przeciwdziałaniem naturze zdrowej, nastawaniem na istotę naszą. Najistotniejszą brzydotą jest zgnilizna, zwyrodnienie. Czynimy słusznie patrząc tym rzeczom prosto w oczy: należy je znać, gdyż kryją w sobie poważne zadania społeczne i moralne. Co więcej, we wszelkich rodzajach brzydoty może tkwić jakaś siła, czasem nawet wielkość. Brzydota w postaci cierpienia i nędzy wewnętrznej w szczególny sposób poucza nas, czem one są dla ludzi. Chodzi mi jednak o kult brzydoty, zgnilizny i zwyrodnienia, myślę o domniemanej „sztuce“, która się w tem lubuje i grzebie, o traktowaniu tych rzeczy w sposób jakoby „naukowy“.

W tem wszystkiem mamy znowu do czynienia z dysocyacyą psychiczną. Smutne, niemniej wszakże stwierdzone fakty psychologiczne dowodzą, że zjawiska sprzeczne ze zdrową naturą ludzką, właśnie dzięki tej swojej sprzeczności posiadają najwyższą zdolność opierania się kojarzeniu. Jest w tem pewien urok mówić, robić i widzieć brzydkie rzeczy; odrażające pociągają, groźne odurzają. Najprostszym tego przykładem może być nieprzeparta nieraz chęć rzucenia się w przepaść rozwartą u stóp naszych, dalszym krokiem będzie żądza oglądania lub robienia rzeczy wstrętnych, wreszcie na ostatnim szczeblu znajdziemy namiętność okrucieństwa, popęd zbrodniczy, epidemiczne zabójstwa i samobójstwa.

Na gruncie wspólnym z tymi zjawiskami wyrasta kult brzydoty i zwyrodnienia, który się obecnie tak rozkrzewił.

Naturalnie, że nie można przypisywać wszystkiego samej tylko dysocyacyi, wszakże wszystko, cokolwiek byśmy powołali do wyjaśnienia zjawisk powyższych będzie pozostawało w ścisłym związku z dysocyacyą.

W normalnym biegu rzeczy, brzydota spotyka w duszy silne przeciwdziałanie, które się objawia w uczuciu niezadowolenia, wstrętu.

Im słabiej ów objaw występuje, tem mniejszą jest odporność duszy, tem ospalszym dany osobnik. I stać się może, że brzydkie nie będzie już odczuwane jako takie, lecz wystąpi w roli narkotyka chłoszczącego ospałe nerwy, ospałe nasze „ja“. Taka ospałość nie będzie niczem innem, jak tylko ostatecznym wynikiem dysocyacyi, rozluźnienia całości ustroju psychicznego.

Do zwyrodnienia w ścisłem znaczeniu wyrazu zaliczyć trzeba zwyrodnienie na tle płciowem i zbrodniczość erotyczną.

Musimy tu nieco odbiedz od przedmiotu. Życie płciowe zajmuje w organizacyi psychicznej stanowisko ściśle określone i wyznaczone mu raz nazawsze przez naturę. Biada, jeśli je z tego stanowiska zepchniemy lub, co gorzej, jeżeli się ono zechce wyodrębnić z pośród całości psychicznej. Silne wybuchy instynktu płciowego są same przez się pewnego rodzaju potęgą, nieokiełznana jej brutalność może być zwierzęcą, nie będzie jednak miała nic wspólnego z dekadentyzmem. Dekadentyzmem nazwę lubieżną grę zmysłów, której obecnie nadają miano „wyższej erotyki“.

Zaznaczam, że owa „erotyka" nie ma nic wspólnego ze sztuką, bo chociaż sztuka winna wyobrażać wszystko co ludzkie, to jednak celem jej jedynym jest dostarczanie rozkoszy estetycznej, warunkiem zaś tej ostatniej jest zlanie się z dziełem sztuki, oderwanie się od naszego „ja", a przedewszystkiem wyzwolenie się z pęt potrzeb i popędów zmysłowych. Kto wobec dzieła sztuki dozna podrażnienia zmysłowego, ten się zachowa na podobieństwo ludożercy, który na widok plastycznie oddanego ciała, myśli jakby też ono smakowało, lub też na podobieństwo chłopa, który patrząc na krajobraz malowany, oblicza ile by dany grunt wydał kartofli.

Czas już by artyści powstali przeciwko nadawaniu wybranego imienia dzieła sztuki utworom skierowanym ku schlebianiu namiętnościom!

(D. n).

spolszczyła *M. Kalinowska*.

LITERATURA I SZTUKA

Cypryan Norwid.

Wśród powszechnego zamętu, wśród chaosu przeróżnych pożądań, dążeń, czynów, skierowanych ku bezpośredniemu przejawowi życia, odezwał się cichy głos echa dość odległych czasów, przypomniał o istnieniu swojem człowiek, który sam kochał gorąco to bezpośrednie wszechłączące życie, który przebył swe istnienie na roześnieniu wewnętrznej swej jaźni i wsłuchaniu się w tajemną grę sfer, w ukrytą dla tysiącznych oczu prawdę bytu.

Wydano pierwszy tom dzieł Cypryana Norwida.

Postać to mało znana urzędowym dziejopisom naszej literatury i kultury, nierozumiano przez matadorów krytyki, lżona przez indywidua w rodzaju pr. Mycielskiego, autora bajecznie banalnej historyi początków malarstwa polskiego. W artykule obecnym pragnę zobrazować tylko literacką twórczość tego niepospolitego człowieka, gdyż o jego utworach plastycznych, wobec rozproszenia się dzieł, mówić dziś—niepodobna...

Norwid, to łuna zachodu romantyzmu polskiego; zachodu nie na nieistnienie, nie na wieczną ciemność, a na chwilowy mrok, na noc, po której nadeszło jutro — nowy wschód—dzisiejsza poezya nasza.

W Norwidzie romantyzm nasz wystrzelił dziwnie subtelnym kwiatem. Jako roślina cieplarniana, chowana w ciszy myśli i odosobnieniu serca, nie pozyskała jego poezya uznania współczesnych, potomni o nim zapomnieli, i dziś dopiero, na podłożu nowej kultury umysłów, piękno jej odżyło i poczęło stawać się dorobkiem ogólnym.

Romantyzm nasz przyniósł z sobą poczucie siły wgłębienia się w przyrodę i we własną duszę, ukształtował przyjęcie świata w formę panteizmu—wiary we wszechłączność i nieskończoność, i cześć dla twórczej siły duchowej jednostki. Wgłębienie się w przyrodę i znalezienie w niej echa własnej duszy było zerwaniem z chłodem rozważnym czasów poprzedzających i zwrócenie się ku nowym skarbom, ku nowej treści. Przyroda przyjęła nową dla wyobraźni ludzkiej postać, stała się istotą żywą, stała się jednością z półświadomymi polotami wewnętrznego utęsknienia. Na tem podłożu powstał panteizm, systemat ujęcia świata w jedność wiecznie nową i wiecznie przetwarzającą się. Odwieczny ruch miał podług wiary romantyków cel po za sobą. Królem ducha był tu Słowacki, rwący się przez męczeństwo natury ku boskiej Jeruzalem, gdzie aniołowie okrzykiem: hosanna! wołać będą, wspinające się w bólu i cierpieniu siły jasne, gdzie będzie ruchowi ostateczny kres. Ta wiara mistyczna w praprzyczynę, stojącą ponad światem, odpowiadała ówczesnemu tłu głębokiej religijności, niemającej nic wspólnego z praktykami religijnemi. Łączność ducha indywidualnego z wszechistnieniem nieśmiertelnego życia z tej pierwszej fazy wiary poetów przechodzi dziś w poznanie, że ruch wszechistnienia ma cel w samym sobie, jest bez końca i początku. Przejście ku tego rodzaju panteizmowi zauważyć można w treści poezyi Norwida. Zapatrzony w głębie bytu, które rozglądał przez pryzmat własnego ducha, od wiary Juliusza przeszedł on do świadomości, że „Pan jest i Mistrz, a rzekłbym prawie uczeń". Można to zresztą tylko wyczuć z tonu jego poezyi; ten panteizm jest, jako niewidzialny szmer, towarzyszący wszelkim jego przemówieniom, jako nastrój całego jego życia.

Trzecią nicią, wiążącą Norwida z romantyzmem, jest cześć dla twórczości i potęgi sztuki. Dziwną była wiara romantyków w siłę poezyi. Wyrażona w testamencie tego, który niósł mękę samotnictwa, aby módz tworzyć i opowiadać sny swoje o tęczowych jeźdźcach, pędzących po szczytach, w słowach pamiętnych: „marzę, aby zjadaczy chleba w aniołów przerobić", siła ta fatalna, cierpienie za miliony i prowadzenie ich ku dalekim słońcom, wyrosła z pól i łąk, z mąk i bólu—z chwili. Wiarą tą żył Norwid, ufny, że słowo a czyn to jedno, wielkie jedno...

Życie swe poeta przepędził przeważnie na obczyźnie. Opuściwszy kraj rodzinny za czasów młodości, podróżował wiele, szukając wszędzie treści bytu, wiedziony nostalgią za czemś, co jest trwałe i wieczne. Dłużej mieszkał on w Paryżu, gdzie zmarł w przytułku św. Kazimierza, samotny i zapomniany, nieodczuty i niemający posłuchu.

Była to natura, jak świadczy o tem jego poezya, dziwnie wgłębiona w samą siebie, przejęta poczuciem znaczenia ducha i wiarą w powszechną łączność, w moc uczucia i tęsknoty. Na zdarzenia zewnętrzne reagował on refleksya, impulsywność pierwszego nastroju gasiło rozmodlenie się w samotnej świątyni dumania. Myślą biegł Norwid w odległą przyszłość, ogarniał dalekie horyzonty, żył jednością własnego życia z pulsem wszechistnienia. Nie znał on dwoistości człowieka i twórcy; pisał tylko to, co przeżywał. Zagłębiony w najtreściwsze zagadnienia ducha, z dziwnym chłodem pomijał on wstrząśnienia osobowo - uczuciowe, żył myślą twórczą, wykradającą tajemnicę światom w zapomnieniu o porywach namiętności ognistszej i bardziej bezpośredniej.

Spoistość ta między życiem poety a jego poezyą odpowiada głębokiemu przekonaniu Norwida, „że im większy sztukmistrz, tem słowo a dzieło bliżej się (nie w bliźnięcy) trzeźwy uścisk wzięło, i jedno zmusza drugie, posiłkując wzajem — jak prawo, gdy przekwitnie—ludu obyczajem..."

Norwid w życiu i twórczości był poetą dalekich horyzontów.

Mus wewnętrzny „żyć mu rozkazał w żywota pustyni"; widział on w koło siebie tylko szary piasek, ołowiane niebo i smutną dla oka, ciężką powierzchnię równiny; wszystko, co się dokoła działo, co się przesuwało przed oczyma, było małe, nikłe i banalne. Tylko tam—daleko na horyzoncie, w stalowej szarzyznie bez kresów widać jakieś niepewne zarysy baszt, wierzy, murów ochronnych, świątyń, — gmachów potężnych a wiecznych. Tylko skądś zdala dochodzi głos życia, myśl niesie mu wieści o wewnętrznem, ukrytem znaczeniu wszechrzeczy.

Ujęcie świata przez Norwida nie miało źródła w bezpośredniem obcowaniu z przyrodą, ze zjawiskami formy i barwy, a rodziła je przewaga refleksyi, słabe odbicie świata zewnętrznego w powiększającem źwierciedle myśli. Myśl twórcza Norwida we własnej głębi znajdowała całe ukształtowanie się treści istnienia, a świat zewnętrzny był tylko obrazem, słowem dla wypowiedzenia tajemnicy ducha. Przeto poezya jego jest tak skupiona i tak muzycznie myślowa. Zjawiska formy i barwy nie łączyły się w jego duszy w jedność z pracą umysłu, badającego prawa bytu, były tylko odpowiednikiem jego trudu.

Trudno niezmiernie określić tę refleksyjność Norwida. Poezya jego nie jest bynajmniej traktatem myślowym, nie jest wyłącznie rezultatem mózgu, abstrachującego swe wywody, nietylko wypowiada ona swą treść w postaci przymglonej, w nastroju pograżenia się w bezkres melodyi ruchu powszechnego. Myślowy ten refleks, to właściwość indywidualna osobowości Norwida; nie jest to chłodna mózgowość systematyzująca podług kategoryi zjawiska zewnętrzne i wewnętrzne, lecz mowa twórcza intuicyjnie zgadująca tajemnicę bytu, tworząca nowe, przyszłe piękno wyduchowienia całości natury ludzkiej; wypowiada się ona, jak każda poezya, w tonach i półtonach zmysłowych, przyczem z wyłączną prawie przewagą strony muzycznej.

Refleksyjność ta ściśle jest złączona z inną właściwością Norwida. Jest nią — zgłębienie własnego ducha. Odosobniony, skryty, pędził on długie dni na wczuwaniu się w duszę, skarbnicę bogactw ukrytych dla oka tłumu. Przyjście swoje na świat i swój do niego stosunek określił poeta w następujących słowach: „Było w ojczyźnie laurowo i ciemno i już ni miejsca dawano, ni godzin dla nieczekanych powić i narodzin, gdy boży palec zajaśniał nademną". Wgłębienie się to w samego siebie wytworzyło ironię litościwą, z którą poeta spogląda na drobne czyny drobnych ludzi. Biedni—kręcą się oni w ciasnem kółku niezdolni do podniesienia głowy w górę i ujrzenia tam—gwiazd i bezkresu, dumnie stanowiący prawa i wierzący, że jest „absurdem wszystko, co sprzeciwia się rutynie naszej, lub co przewyższa naszą inteligencyę. Wspaniale oddał Norwid stosunek duszy żyjącej własnem życiem, duszy twórczej do przeróżnych jegomości, szczycących się przynależnością do tak zwanej inteligencyi, w wierszu, przeznaczonym do projektowanego przezeń zbiorku: „Vade mecum". Wiersz ten bez tytułu zaczyna się od słów: „powiedz im". Gdy artysta tworzy, a duch jego „odbrzmiewa myśli wiecznej",—oni „krzesły swojemi stwierdzą, że siedli i że istnieją na planecie, który niesie ich rączo—a pono do góry". Gdy artysta daje im stwierdzenie bytu, zatrzymując „żywot i słońce na włosie pędzlowym, jako na rzęsach ducha"—oni—„utrą nos, by jasno stwierdzić, że czujni są i wraz nie zasną". Wszelki dźwięk z pod powierzchni życia nie dochodzi do nich, wszelka mowa o głębi—zastaje ich głuchymi i wywołuje—powyżej opisany efekt. Przepaść między temi fusami a treścią bytu jest wielka, tak wielka, że z czasem muszą one zaniknąć i pozostaną wtedy tylko niemiłem wspomnieniem. Dążenie w bezkresy rodzi tę wiarę poety w przysz-

łość i w stopniowe uduchawianie się ludzkości, to jest porzucanie dawnej spleśniałej formy.

(D. n.)

Zbigniew Brodzki.

Notatki literackie i artystyczne.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH. Wyd. ks. Arcta.

— Dr. Stoecker, opracował dr. Łazarowicz: „Pielęgnowanie chorych w domu", kop. 25.

— Dr. K. Łazarowicz: „Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach", z 50 rys. 25 kop.

— Fr. Skwara: „O kotłach parowych oraz ich obsłudze", 25 kop.

— Fl. Łagowski: „Historya literatury polskiej w zarysie", Cz. V, wiek XVIII i XIX do Mickiewicza. 30 kop.

— A. Okszyc: „Japonia i Japończycy," 25 kop.

— Marek Zawirski, prof. Ins. Muz. War.: „Nauka harmonii w streszczeniu", 40 kop.

— A. Dobek, podług Pypina: „Historya literatury słowehskiej," 20 kop.

— A. Le Roux, streściła W. Jasieńska Zaremba „Życie artystyczne ludzkości." 25 kop.

— St. Brzozowski: „Zasady psychologii" 15 kop.

— Dr. L. Zamenhof: „Esperanto", język międzynarodowy, cz. I, gramatyka i ćwiczenia 25 kop. Cz. II słownik, 15 kop.

— Brieux: „Wykolejeni" sztuka w 3 aktach, tł. Z. Morawski 25 kop.

— Sewer: „Marcin Łuba," dramat w 4 aktach 20 kop.

— M. Maeterlinck: „Śmierć Tintagilesa", dramat tł. S. Brzozowski 10 kop.

— G. E. Nani: „Burza w ciemności," dramat przeł. A. Strzelecki 10 kop.

— Bjornstjerne-Bjornson: „Ponad siły", 20 kop. „Rękawiczka", sztuka w 3 aktach, 20 kop.

— G. Hauptmann: „Święto pokoju". katastrofa rodzinna, 25 kop.

Życie publiczne w Rosyi.

„Jeżeli porównamy położenie polskiego języka w pruskiej szkole ze wskazanem dlań stanowiskiem w naszej szkole — pisze *Ruś* — to możemy wyciągnąć wnioski na korzyść Rosyi. Przewidywane przez komitet złagodzenie ograniczeń prawnych, zdaje się, że powinnoby również wywrzeć pośród Polaków korzystne wrażenie. Powinni bowiem uznać istnienie przynajmniej stosunkowo korzystniejszych w Rosyi warunków dla swego bytu i rozwoju.

„Pomimo to, wielkim błędem byłoby z naszej strony przypuszczać, że Polacy tak właśnie zrozumieją położenie, lub że przejmą się dla nas wdzięcznością za spodziewane dobrodziejstwa. Gdyby te same ustępstwa przyznano im przed dziesięciu, ośmiu lub przed siedmiu laty, w epoce historycznego spotkania w Warszawie, w czasie odsłonięcia pomnika Mickiewicza, kiedy znaczna część społeczeństwa polskiego gotowa była pójść za umiarkowaną partyą ugodową—wtedy niezawodnie rezultat byłby dla obu stron więcej zadawalającym.

„Nie zapominajmy jednak, że wówczas zamiast ziszczenia świetlanych nadziei, społeczeństwo polskie doznało rozczarowania, poczem nastąpił wieloletni okres zaostrzonych stosunków...

„Dziś ogólny głos społeczeństwa polskiego i narodu mówi nam, że porozumienie na zasadzie umiarkowanego *do ut des* nie może już doprowadzić do pożądanych rezultatów: nie skorzystano z chwili właściwej. Obecnie społeczeństwo polskie występuje już z pełnym programem żądań, co do równouprawnienia z jednej strony i rękojmi kulturalnych i narodowych — z drugiej.

„Czy żądania te mogą napotkać echo w takiej instytucyi państwowej jaką jest komitet ministrów? Wzywamy polaków naszych, aby się nad tem zastanowili. I jeżeli tylko gruntownie to uczynią, nie mamy żadnej wątpliwości, do jakiego dojdą wyniku.

„Przebudować Rosyę na podstawie szczerego i wielkodusznego uznania zasady całkowitego równouprawnienia oraz wolnego rozwoju kulturalno - narodowego jej ludów, przy współczesnym ustroju biurokratycznym zdołałby chyba tylko wielki geniusz polityczny, siłą i śmiałością równy Piotrowi I. Takich zaś geniuszów w komitecie ministrów mieć naturalnie nie możemy.

W innym artykule, pod tytułem „Powodzenie czy niepowodzenie w kwestyi polskiej" *Ruś* mówi znowu: „Sądząc z wielu listów, jakieśmy otrzymali Polacy rozczarowani są uchwałami komitetu ministrów. Rozumiemy, że społeczeństwo polskie, a może i polska samowiedza całego narodu ostatecznie wyrosły z tego wązkiego, niewygodnego stroju, w jaki przesławny system rusyfikacyi chciał je ubrać. Polska nasza — Polska etnograficzna — pragnie swojego wygodnego stroju narodowego. Cóż kiedy strój ten zamknięty za dwunastu drzwiami dwunastu kłódkami, a obecni gospodarze kluczy nie mają w swych rękach, szukać zaś nie mogą się zdecydować, gdyż trzebaby w tym celu wszystko przewrócić w domu, a przed taką pracą biurokracyi ręce opadają.

Polacy mają prawo skarżyć się przed społeczeństwem rosyjskiem i oczekiwać od obywateli rosyjskich poparcia w walce kulturalnej, lecz spodziewać się, że biurokracya podzielać będzie nagle ich ideały, ta sama biurokracya, która przez 40 lat ich prześladowała, byłoby co najmniej naiwnem.

W tych dniach będą wznowione posiedzenia komisyi pod przewodnictwem kuratora petersburskiego okręgu naukowego. „Komisyę tę — pisze *Ruś* — stworzono z rozporządzenia ministra oświaty, celem opracowania środków usunięcia rozterek pomiędzy szkołą, a rodziną. Na ostatniem jej posiedzeniu opracowano projekt przepisów dla kółek rodzicielskich przy gimnazyach i szkołach realnych. Na przyszłych posiedzeniach będzie roztrząsana sprawa dopuszczenia szerszych kół społeczeństwa do udziału w rozstrzyganiu kwestyi szkolnych. Środek ten należało już dawno wprowadzić. Naturalnie obrady te będą miały znaczenie tylko wtedy, jeżeli im się nada największą jawność".

Jak donoszą „Odeskie Nowosti", 200 obywateli kiszyniowskich podało prezydentowi miasta następującą petycyę:

„Występna agitacya drogą odezw rozrzucanych pomiędzy ludnością, a nawołujących do rzezi i grabieży Żydów (w ostatnim czasie także Ormian i Polaków), przyjęła takie rozmiary i daje powód do tak poważnych obaw, iż uważamy za powinność prosić zarząd miejski, o rozpatrzenie tej kwestyi i przyjęcie środków energicznych, aby zapobiedz powtórzeniu smutnych zajść 6 i 7 kwietnia 1903 r. Na zarządzie miejskim, jako reprezentacyi ludności, leży obowiązek rozpatrzenia środków, gwarantujących zupełne bezpieczeństwo i nietykalność mieszkań i dobytku.

Prosimy o rozpatrzenie naszej prośby na najbliższem posiedzeniu gremialnem Rady miejskiej".

Niedawno pisma Rosyjskie doniosły, iż w Moskwie stworzono koło inteligencyi celem przeciwdziałania ruchowi, propagującemu dla Rosyi organizacyę konstytucyjną. Obecnie, jak donosi „Now. Wrem.", koła takie powstały już w Petersburgu. Jedno z nich, składające się przeważnie z pedagogów, postanowiło przedewszystkiem walczyć z ruchem rewolucyjnym i współdziałać z rządem w jego zabiegach około urządzenia życia narodu. Uznając jaknajszersze reformy w duchu tolerancyi i wolności, koło to jest przekonane, że one mogą i powinny być przeprowadzone przy zupełnem zachowaniu samowładztwa.

„Konstytucyonalizm, wbrew temu co utrzymują jego zwolennicy, nie daje trwałej gwarancyi swobody obywatelskiej i wogóle nie może usunąć wszystkich braków i niepomyślności. Dlatego gruntowne zmiany państwowego ustroju Rosyi powinny być owocem nie niewolniczego naśladownictwa wzorów zagranicznych, lecz wolnej pracy twórczej narodu wespół z rządem. Ze względu na to wszystko, koło przemawia za soborem ziemskim i za organizacyą przedstawicielstwa narodowego, jako osobnej instytucyi prawnonaradczej z inicyatywą prawodawczą i z prawem kontroli działalności ministrów. Koło to ma wkrótce ogłosić swój program polityczny z umotywowanem tedy i ze skazaniem warunków, w jakich uważają za możliwe wprowadzenie w Rosyi przedstawicielstwa narodowego."

Gaz. *Kijew. Otkliki* pisze: „Referenci wojenni gazet paryskich są niezadowoleni z powodu beztreściwych telegramów gen. Liniewicza z teatru wojny. „Z mianowaniem nowego naczelnego dowódcy — skarżą się oni — przerwały się prawie urzędowe doniesienia z Mandżuryi".

Prawda, ukazują się od czasu do czasu krótciutkie telegramy z głównej kwatery rosyjskiej, lecz co one w sobie zawierają?

Gil Blas pisze: „Są one przeparadne te telegramy, przysył[...]e z takiego odległego kraju i tak komiczn[...] swoją beztreściwością i bezpożytecznością.—„Żadnych zmian w armii" — głosi jedna; „Żadnych ruchów, spadł obfity śnieg, wiatru niema"—zaznacza druga.

„Spadł śnieg, niema wiatru"—oto najważniejsze wieści z terenu walki. Naród, upadający pod brzemieniem trosk i niepokoju, oczekuje ze drżeniem serca wiadomości choćby o jednym oderwanym fakcie bohaterstwa, wzamian zaś za to dają mu znać, że w Mandżuryi wiatr nie wieje..."

KRONIKA

Wiadomości społeczne. Rada m. Lwowa uchwaliła 4,000 koron dla ofiar wojny w Królestwie Polskiem. Składki prywatne płyną obficie i zawiązują się nowe komitety. Ofiary na rannych i głodnych w Królestwie Polskiem zebrane w Krakowie wynoszą już około 30,000 rb.

— Kolonie letnie w tym roku będą mogły wysłać bezpłatnie na wieś zaledwie 2,500 dzieci. Brak środków zmusza tę instytucyę ograniczyć swą działalność do tej garstki.

— W tym roku — jak twierdzą gazety niemieckie — wychodźstwo z Królestwa Polskiego i Galicyi do Niemiec na roboty przybrało rozmiary niebywałe. W ciągu ostatnich 3 tygodni przez samo Podzamcze przejechało około 30,000 mężczyzn, kobiet i dzieci z Królestwa.

— Starania niektórych zarządów miejskich i instytucyj społecznych o zreformowanie policyi miejskiej, zostały odrzucone.

— Śledztwo w sprawie Maksyma Gorkiego zostało ukończone. Prokurator izby sądowej odesłał je do ministra sprawiedliwości, wypowiadając się jednocześnie za umorzeniem tej sprawy.

— D. 15 kwietnia odbyło się w Petersburgu posiedzenie akademii nauk, na którem przyjęty został memoryał akademii o konieczności rychłego wydania prawa wolności prasy. Memoryał ten, zredagowany przez komisyę, pod przewodnictwem akademika Oldenburga, został w ostatniej redakcyi nieco zmieniony.

(*Kur. Codz.*).

Memoryał będzie złożony na radzie Kobeki.

— Ministeryum spraw wewnętrznych poleciło podwładnym urzędnikom w każdym wypadku odrzucenia podania osoby prywatnej do tej lub owej instytucyi, podlegającej rzeczonemu ministeryum, jasno i treściwie motywować powód odmowy.

— Podczas powtórnego strajku w Widzewie pod Łodzią—jak opisuje *Warsz. Dn.*—robotnicy tłumnie zebrani przed fabryką otoczyli przybyłych inspektorów i oświadczyli, że ich nie puszczą, dopóki ci nie wyjednają żądanych od fabryki ustępstw. Ponieważ nadchodziła noc, wniesiono do fabryki dwie kanapy, na których położyli się inspektorzy, a dokoła nich rozlokowali się robotnicy. Nad ranem przyszło wojsko. Robotnicy zgodzili się wybrać delegatów do traktowania z fabryką, która obiecała w ciągu 2 tygodni porozumieć się z akcyonaryuszami w celu zadość uczynienia życzeniom robotników.

— Do gazety „Jużnyj kraj" donoszą z Petersburga, że robotnicy fabryczni w Petersburgu i jego okolicach energicznie bojkotują wódkę skarbową. Już 6 tys. robotników piśmiennie zobowiązało się nie pić wódki.

— Fabrykanci moskiewscy wydali odezwę do robotników, w której radzą im, aby w sprawach polepszenia swego bytu bezpośrednio porozumiewali się z fabrykantami.

— Gazeta „Wiecz. Poczta" komunikuje, że skrajna prawica polityczna, posiadająca głównych przywódców w Moskwie, tworzy organizacyę bojową. Mianowicie przy klasztorze Czudowskim będzie zorganizowane bractwo na zasadach prawosławia, samowładztwa i nacyonalizmu. Założycielami organizacyi tej są: biskup sierpuchowski Nikon, redaktor gaz. „Mosk. Wied." Gringmunt i dyrektor liceum moskiewskiego Georgiewski. Filie bractwa mają powstać we wszystkich miastach prowincyonalnych.

Szkoły i wychowanie. Zamierzone w roku bieżącym rozstrzygnięcie kwestyi dopuszczenia kobiet do słuchania wykładów w wyższych zakładach naukowych męzkich odłożono na czas nieograniczony.

— „Spójnia" stow. młodzieży polskiej postępowej we Lwowie (Pasaż Mikolasza I 2-gie schody) podaje do wiadomości, że pragnącym wstąpić na uniwersytet lub do politechniki lwowskiej udziela wszelkich informacyj.

— Zarząd politechniki warszawskiej zawiadomił tutejsze urzędy i instytucye, że tylko ci ze studentów mogą być przyjmowani na jakąkolwiek praktykę, którzy posiadają na to bilety z politechniki.

— Niektórzy studenci warszawskiego uniwersytetu poczynili starania celem dostania się do jarosławskiego liceum prawoznawstwa dla zdawania tam ostatecznych egzaminów.

— Ministeryum oświaty, jak donosi *Warsz. Dn.*, opracowało projekt nowego typu zawodowych szkół żeńskich z wydziałami pedagogicznymi.

Wiadomości urzędowe. *Zap. Goł.* twierdzi, że policya warszawska otrzymała niedawno rozporządzenie, ażeby we wszystkich cyrkułach zaprenumerowano *Grażdanina* z funduszów miejskich.

— Ministerya spraw wewnętrznych i skarbu przystąpiły łącznie do przejrzenia obowiązujących przepisów paszportowych. Ujawniły się dwa poglądy na tę sprawę: całkowitego zniesienia systemu paszportowego i przejrzenia go ze względów fiskalnych. Ten ostatni wziął górę, gdyż ministeryum skarbu poszukuje nowych źródeł dochodu na pokrycie wydatków wojny.

Literatura i sztuka. W Tow. Zach. Sztuk pięknych dnia 29 kwietnia r. b. będzie otwarta wystawa obrazów i szkiców Wacława Pawliszaka. Całkowity dochód z wystawy przeznaczony na rzecz córki malarza.

— Jak donosi „Syn Otieczestwa" Petersburska Cesarska Akademia nauk i Cesarska Biblioteka Publiczna w Petersburgu zajęte są obecnie zbieraniem literatury nielegalnej.

Konkurs imienia Adama Chojnackiego na temat: „Kobieta, jako członek rodziny i społeczeństwa" znowu nie został rozstrzygnięty. Żadna z nadesłanych trzech prac nie odpowiadała wymaganiom.

Kongresy. W sierpniu ma się odbyć w Petersburgu międzynarodowy kongres akuszersko-ginekologiczny.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum komunikacyj przeznaczyło 104,000 rb. na gratyfikacye dla pracowników kolei nadwiślańskich.

— W poszukiwaniach nowych źródeł na koszta prowadzenia wojny, rząd, jak piszą „Birż. Wied.", zwrócił uwagę na depozyty, znajdujące się w rozmaitych instytucyach. Postanowiono sumy te zużytkować na potrzeby wojenne, przyczem skarb w charakterze wierzyciela będzie opłacać $3^{1}/_{2}{}^{0}/_{0}$ rocznie.

— *Warszawski Dniew.* zaprzecza krążącym po mieście pogłoskom, że część 33 milionowej pożyczki, zaciągniętej na roboty miejskie i umieszczonej w Banku Państwa, została użyta przez rząd na cele wojenne.

Poczta i telegraf. Główny zarząd poczt i telegrafów zawiadomił tutejsze zarządy, że nadal korespondencye pieniężne do 500 rb. będą wszędzie na żądanie publiczności dostarczane do domów.

— Naczelnik warsz. okręgu pocztowo-telegraficznego polecił wstrzymać przyjmowanie kobiet do pracy w biurach pocztowych do czasu wyjaśnienia o ile te, które już zostały przyjęte, okażą się zdolne do pełnienia służby.

Wypadki. Dn. 21 kwietnia pijany żołnierz wystrzałami z rewolweru ranił na Starem Mieście 6 osób a siódmą zabił — zanim zdołano go rozbroić.

OFIARY.

Dla ofiar bezrobocia zebrane w Żytomierzu dnia 15 kwietnia rb. 100; zebrane u pani de Castro rb. 10; z teatrzyku dziecięcego u pp. Hulanickich rb. 15.

Dla biednych miasta Warszawy. Włodzimierz Aleksandrowicz Gorochow, sędzia honorowy rb. 25; Teodor Iwanowicz Maszynski, kupiec rb. 5; Szymon Jakubowicz Wagin, kupiec rb. 5 — mieszkańcy sioła Berska.

Na chleb dla ofiar bezrobocia i wojny Antoni Suchen z Gidel w pow. Noworadomskim rb. 30, zamiast wieńca na trumnę ś. p. Bogusława Mattnera, ukochanego teścia swego.

Dla uczącej się młodzieży do uznania redakcyi Bracia Jabłkowscy z Warszawy rb. 10.

Sprostowanie. W Nr. 15 w dziale ofiar zamiast „Szklennicki" z Moskwy powinno być *Szklennik*.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 14 Апрѣля 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.